

DWA MIESIĄCE W AFRYCE

PAMIĘTNIK H. ST. GAWROŃSKIEJ



H 3441

PAŃSTWOWE
MUZEUM ZOOLOGICZNE

BIBLIOTEKA

Inw. Nr. K.679.

DWA MIESIĄCE W AFRYCE.

Z KSIĘGOZBIORU
Dra WACŁAWA ROSZKOWSKIEGO

LIBRARY OF THE UNIVERSITY OF TORONTO

DWA MIESIĄCE W AFRYCE.

PAMIĘTNIK H. ST. GAWROŃSKIEJ.



Z KSIĘGOZBIÓRU
Dra WACŁAWA ROSZKOWSKIEGO

POZNAŃ.

NAKŁADEM I CZCIONKAMI DRUKARNI „PRACY” SP. Z O. P.

1914.

*Skład główny
w księgarni
M. Niemierkiewicza
w Poznaniu.*

Jerzy Dunin-Borkowski i S^{ka}

Wydawnictwo <http://rcin.org.pl> *Wydawnictwo*

Świętokrzyska 14

Biblioteka Muzeum i Inst. Zoologii PAN

K. 679



1000000000163



Z KSIĘGOZBIORU
Dra WACŁAWA ROSZKOWSKIEGO

B i s k r a, 12-go marca 19...

Przyrzekłam, więc trzeba dotrzymać. Przyrzekłam synowi pozostałemu w Europie, że będę spisywać nasze wrażenia, więc trzeba się zabrać do tego od razu, bo otrzymujemy ich tyle, że potem bym się z nimi nie uporała, a i mniej byłyby wierne.

* * *

Gdy przed kilkoma dniami wylądowaliśmy w Algierze, doznaliśmy zawodu: chłodno, pochmurno, a widok portu — zupełnie europejskiego pokroju. I to ma być Afryka... i to na to trzydzieści godzin morza cierpiałam... Myślałam, że ta męka kołysania nie tylko na inną część świata, ale na inną planetę mnie przeniesie, a tu — gdy na nogi napowrót stanęłam — oczekiwanych wrażeń nowych — omal żadnych.

Znalazły się jednak potem. Naokoło portu miasto jest czysto francuskie, ale głębiej, na zboczu góry pnie się »la Kazbah«, dzielnica arabska.

Gdy stanęliśmy tam u wejścia pierwszej uliczki, stromo w górę się podnoszącej, uderzył nas widok tak nowy, tak

dziki, że trzeba było maleńkiego aktu odwagi, by rozpocząć wstępowanie na te z oślizgłego bruku schody. — Ale zato, co za bogactwo wrażeń... już nic z Europy... tłum wstępujący i schodzący się snuje; same burnusy, bufiaste szarawary, fezy, turbany... i zewsząd patrzą na ciebie z ledwie dostrzegalnym odcieniem lekceważenia cudne czarne oczy, głęboko osadzone; orle nosy, śniade wyniosłe czoła: typ semicki, ale którego nigdy, nawet z najpiękniejszym typem żydowskim, pomieszaćby nie można. I snują się po tych brudnych schodach z ruchami królewiąt, choć przeważnie ubodzy, obdarci. Kobiet niema wcale. A te ulice — tak wąskie, że gdzieniegdzie pierwsze piętra się stykają — opisać ich architektury niepodobna: takie to indywidualne, dziwaczne, a mimo to wspólny ma charakter; i mimo brudu, ubóstwa, drobności swej, ma tę samą grandezę co Arab w łachmanach, a przytem patynę muzealnego za-
bytku.

Sklepiki — raczej jaskinie małe, z wejściem często malowidłami ozdobionem; siedzą tam rzemieślnicy w kuczki, pracując w półcieniu z spokojem i powagą: szewcy, be-dnarze etc. W innych sprzedaż owoców i jarzyn; w jeszcze innych podobnych norach kawiarnie: na matach leżą kółkiem Arabi, grając w jakieś dziwne karty lub warcaby. Wzdłuż ścian ulicy, na ziemi, ciągną sprzedaż cytryn, pomarańcz: wobec wąkości ulic baczyć trzeba, by ich nie podeptać...



. . . . siedzą tam rzemieślnicy w kuczki.

I tak idziemy ciągle, po krzyżujących się ulicach, zaułkach, pod mostami, którymi domy połączone, odurzeni nieco obcością duszy tego ludu... co odczuwa się od razu, bo życie ich na ulicy. Ubóstwo tu zdaje się nie być cierpieniem — słońce, pewno, przyczynia się do tego; a może i duch Islamu, fatalizm. Każde żebrzące dziecko, a roi się od nich, jest pomimo twej odmowy uśmiechów pełne. A pięknież te dzieci!... oczy mają, których żaden opis ani obraz nie odda.

Jedno jeszcze uderza: w francuskiej części miasta gwar jest wielki, ten gwar uliczny Europy południowej:

— 7 —



krzyki, śmiechy, nawoływania sprzedających, dzwoneczki przy szyjach końskich, świstawki tramwajów wyjątkowo donośne, tak jakby słońce w Europejczykach wywoływało wraz z potrzebą barw jaskrawych potrzebę hałasowania, w uliczkach arabskich zaś — cicho. Ruch, jak mówiłam, wielki, lecz ludzie snują się jak cienie; nie jestto cisza smutku: bynajmniej; może to cisza pustyni w duszy odbita? jasność, spokój i milczenie.... W ciasnocie, ciemności, natłoczeniu zabudowań czuć usiłowanie bronięcia się od słońca, dlatego — niema prawie okien na ulicę, dlatego — mnożą się i mnożą zakręty i zaułki, dlatego — górne części domów występują na ulicę, spotykając się nieraz ze sobą i tworząc dołem niechlujny, cuchnący korytarz, dlatego — dziedzińce wewnętrzne, na które wychodzą okna, są tak małe, że o żadnej porze dnia promień słońca się tam nie dostanie: wszystko obmyślane na walkę ze słońcem. A przecież to słońce, od którego potęgi tak się bronić ludzie muszą, ratuje ich mimo nich od wpływu wstrętnych warunków zdrowotnych, w których żyją. Wieleż to razy w życiu coś podobnego się zdarza...

Nazajutrz wieczór pociąg poniósł nas przez góry Atlasu w głąb Afryki. Rano otwieramy oczy i — w zamian za onegdajsze rozczarowanie, teraz oczarowani jesteśmy.

Wschodzące słońce doprawdy świeci i grzeje, a krajobraz już teraz mamy taki, jaki się nam należy, taki, jakiegośmy nigdy nie widzieli: Wschód. Na tle pagórkowatej, kamie-

nistej okolicy ludzie w zawojach i szatach luźnych, fałdzistych strzegą trzód, jak biblijni pasterze. Opodal wielbłądy sznurem kroczą, na nich ludzie jakby żywcem wzięci z obrazów, na których się człowiek uczył historii świętej... oto i samotna szopa... gotowi trzej królowie. —

Słońce świeciło już teraz istotnie jak w swem uprzywilejowanym królestwie, ale chłodno było, bo to wysokość znaczna; niewiadomo, czy to jeszcze góry Atlasu, czy już Aures, który jest odnogą Atlasu. W każdym razie okolica wygląda raczej na płaskowzgórze niż na góry, bo widok rozległy. Przytem gdzieniegdzie widnieją ślady rzymskich ruin; Rzymianie, tak jak w Anglii, czerpali stąd cynk. Czasem zjawia się wśród szarzyny plamka młodej, jaskrawej zieloności i budynki europejskie: francuski kolonista korzystający z jakiejś wysepki urodzajnej ziemi; czasem szare, marne pastwisko, przy niem nędzny namiot, nędzni ludzie, w biblijnych łachmanach; czasem Arab w burnusie na koniu lub wędrująca karawana, t. j. kilka wielbłądów objuczonych, idących gęsiego, za nimi kilka osiołków, ludzi, psów. Naprzeciw jednej stacyjki, przed którą stajemy, widnieje u stóp góry wielkie jezioro; podobno słońce... na niem, w znacznej odległości spostrzegamy mnóstwo białych znaczków, jakby sitowie szronem pokryte: dobywamy lunetę i oto ukazują się nam tysiące dużych białych ptaków — chyba łabędzie. Koło południa widok staje się dzikszymi — już teraz, jak okiem sięgnąć, niema nic tylko skały i piasek; ale nie



. . . przy niem nędzny namiot, nędzni ludzie.

lotny piasek, tylko twardy, zbity z żwirem w pagórki i doliny: to preludya pustyni. Znikają wszelkie małe przedmioty i drobne linie: zostaje natura taka, jaką była w czasie procesu stworzenia po oddzieleniu światła od ciemności i wód od ziemi, a przed narodzeniem życia organicznego. Naga, żółta ziemia, na przestrzeni niezmiernej i nic więcej... tylko błękit nieba nad nią i roziskrzone słońce. Wobec tych rzeczy ogromnych poważnieje się, jakby nagle uchylono przed człowiekiem rąbka, zakrywającego tajemnicę bytu. — Ta ziemia zda się być, według słów Mickiewicza, »wczoraj wieczorem stworzona«, człowiekowi się wydaje, że ją widzi w momencie jej wynurzenia się z chaosu...

I tak pociąg pędzi wśród złota i błękitu, pnie się ku górze i oto teraz zda się, że jesteśmy jakby na wybrzeżu wyschniętego morza: w otchłanie i przepaście układa się przed nami ta żółta, piaszczysto-kamienista powierzchnia, a my z góry panujemy nad tym widokiem, pędzimy przez chwilę nad olbrzymią, pustą, złotą czarą, której dno faluje. Potem pociąg zaczyna zjeżdżać; jesteśmy na południowym skłonie Auresu. Skaliste łańcuchy, które dotychczas w odległości znaczyły nasz horyzont, zaczynają się zbliżać... coraz ciśniej nam między nimi... i oto, gdy już zdają się schodzić, by zagrozić nam drogę, stajemy; palmy, zieloność, strumień: El Kantara. Stacya stojąca u progu właściwej Sahary; bo w tych skałach, rzekomo drogę nam zagrażających, jest wążka naturalna rozpadlina, zwana »Bramą Sahary«. Zaraz, gdy pociąg ruszy, przejedziemy przez nią. Tymczasem ten przystanek zdaje się śmiać do nas całą bujnością i rozradowaniem południowej przyrody: kontrast z powagą wrażenia, jakie się przed chwilą miało. Przed stojącym pociągiem roi się od tych czarownych postaci Arabów, które mają być teraz naszym codziennym widokiem; tu, widziane z bliska po raz pierwszy, wrzynają się głęboko w pamięć, w blasku słońca, na tle szafiru nieba i kit palmowych. Sprzedają pomarańcze i cytryny na gałązkach z świeżemi liśćmi, prosto z drzewa; sam ten jeden maleńki szczegół już rozmarza zziębniętego Europejczyka, bo sam jeden już mówi o blasku i ciepłe zaklętem w tych

gałązkach. A cóż dopiero, gdy doznaje się istotnie narzecie tego blasku i ciepła i gdy krajobraz, dźwięk mowy, ludzkie twarze i stroje są z »Tysiąca i jednej nocy...« To też oczy nasze widać wymownie mówią: »w bajce jestem,« bo, gdy z oczami ludzi tych się spotykają, uśmiech u nich wywołują.

Pociąg rusza ku ścianie skał przed nami stojących, przebywamy je: Sahara. Co prawda, różnicy w »pustynności« okolicy nie dostrzegamy, wszak jesteśmy właściwie w pustyni już od godzin kilku; tylko góry nas nagle opuściły, cofnęły się, więc mamy pustynię teraz może bardziej klasyczną, bo płaską. Pierwszy raz też widzimy, co to oazy: wyspy palmowej zieleni na tej jałowej szarzyźnie. Jeszcze dwie godziny drogi, kilka maleńkich stacyjnych domków wśród monotonnej, kamienistej płaszczyzny, znowu wzgórze skaliste, ostatnie ku południowi resztki Auresu... a za nimi jakby duży las palmowych kit: oaza Biskra, cel naszej podróży i końcowa stacja drogi żelaznej.



14-go marca.

Nasza Biskra, to oaza około 8 kilometrów długa, a wązka tak, że wszędzie o paręset kroków ma się pustynię. Szczególne to wrażenie, być nagle przesadzonym w środowisko, którego próbki znało się tylko z obrazków



. . . wszędzie o paręset kroków ma się pustynię.

lub wystaw... i czuć, że się role zmieniły, że teraz import — to my.

Wczoraj o kilka kroków od hotelu skręciliśmy w ulicę jeszcze nieznaną: ulica tu — to dwa szeregi ścian białych, bez widocznych dachów i okien; ruchu omal żadnego, lecz pod ścianami rozłożone maty, na nich rozlokowani mężczyźni biało ubrani w pozach zawsze pięknych, zapijają kawę, grają w domino lub warcaby, albo — dumają.



. . . . zapijają kawę, grają w domino lub warcaby.

Bezczynność zdaje się być dla Araba rzeczą równie naturalną jak dla Amerykanina czyn. Ponad temi ścianami wznosi się wieżyczka, niska, czworokątna, w każdej ścia-

nie po dwa okna, czy raczej framugi okien; nagle dźwięk się tam rozległ; podnosimy głowy: w jednej framudze stoi postać w białym zawoju, o twarzy poważnej, wyrazie skoncentrowanym, i rozpoczyna się śpiew dziwny, jakby rodzaj skargi, której każdą strofkę śpiewał ten człowiek w innej framudze, wychylając się nieco, jakby »ku światu.« Cudne to było wrażenie; obszedł tak wieżę i zniknął.

Jest kilka uliczek, które się wieczorem ożywiają... napelniają się białym tłumem, ale cisza niezmienną jest; nie tylko gwaru, ale nawet poszczególnych głosów nie usłyszysz, choć ożywienie, a nawet radość życia czuć. Jasne wnętrza kawiarni rzucają co krok swe światło, w nich tancerka przy monotonnej muzyce tamtamu i fletów dziwne, a zawsze flegmatyczne wykonuje ruchy; widzowie na matach naokół spoczywają. Tak kolejno mijasz to kawiarnię, to mieszkanie tancerki; »Ouled Nail« zwą się one. Pod wiszącą latarnią, w wązkich drzwiach, na tle białych schódków siedzi na progu dziewczę kosztownościami obwieszona, sztywne, wyprostowane; nic w niej wyzywającego, żadnej nawet zalotności, prostota i powaga.

Dalej idąc, trafiamy na miejsce, skąd przez drzwi otwarte dochodzi głos donośny; we drzwiach tłoczno, zobaczyć nic nie można; szczęściem obok drzwi jest okno; uchylamy dyskretnie przymkniętą okiennicę i oto izba dość wielka, w niej kilkadziesiątek mężczyzn, wyrostków, chłopów... wszyscy wpatrzeni w twarz starca

o rysach ostrych, kanciastych, który na czemś przypominającym katedrę siedząc, książkę daleko od oczów przy latarce trzyma, i niesłuchanie szybko a niesłuchanie przytem wyraźnie czyta głosem podniesionym... i twarz i intonacje zapalu pełne... co chwila przerywa czytanie, widocznie, by komentować je... wtedy zapal jego jeszcze się zwiększa, gestykułuje, błyszczącymi oczyma wpija się w słuchaczy, którzy też z niego oczu nie spuszczaają; raz powiedział coś śmiesznego, bo uśmiech przebiegł po twarzach. Widać zatem, że i Arab może być podniecony. Objaśniono nas, że to opowiadania z historii arabskiej.

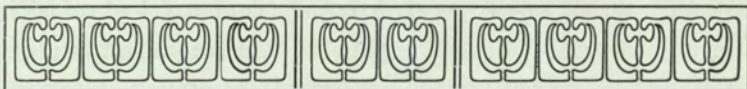


15-go marca.

Jeszcze jedną na tych ulicach atrakcją — to derwisze; byliśmy wczoraj na takim widowisku. Kilku mężczyzn siedzi na matach naokoło tygielka z węgielkami, z którego woń aromatyczna się rozchodzi. Siadamy pod murem, przyprowadził nas tu znajomy »guide«, który objaśnia, że pięć franków trzeba zapłacić. Wtedy jeden z derwiszów wstaje, zdejmując burnus, z jakiegoś różka za pasem dobywa szczyptę czegoś, klęka przed towarzyszem, a gdy ten, oparłszy mu księgę na głowie, czyta z niej półgłosem, on sobie tę szczyptę czegoś kładzie do ust czy do nosa. Reszta obecnych rozpoczyna dziką, hałaśliwą muzykę na tamtamach i flecie, a nasz derwisz zasłoniwszy burnusem swego pomocnika przygotowuje się w niewiadomy dla nas sposób. Po minucie ukazuje się z włosami rozpuszczonymi, z oczyma przymkniętymi, nerwowo ramionami wstrząsając i mrużąc w takt muzyki. Woń z tygielka rozchodzi się coraz silniejsza, muzyka coraz jest dziksza, derwisz na tej małej przestrzeni chodzi tam i napowrót

z ruchami i krzykami coraz gwałtowniejszemi... poczem gestykulacya zaczyna się robić bezmyślną, a urywane słowa — cichszemi, jakby w skargę przechodziły. (Przez drzwi kotarą zasłonięte wsunęło się tymczasem z ulicy kilkunastu widzów.) Derwisz otrzymuje teraz kilka długich szpilek... chwyta je skwapliwie... mierzy nimi w otwarte usta... oczy zasłoniłam; dwie szpilki, jak mówił twój ojciec, włożył ostrzem w usta i ostrza wyszły policzkiem. — Twój ojciec wołał, że dosyć, więc skłoniono go do zaprzestania, co jednak nie było zupełnie słusznem wobec protestu dwóch Angielek, które pragnęły, aby według programu wszystkie użyto szpilki. Podniecenie pacyenta stawało się coraz większe, drżenie coraz silniejsze. Teraz sztuki z ogniem: otrzymał kilka pęczków zapalonych stoczków, kładł je kolejno w usta i połykał. Raz ostatni zatrzymał usta otwarte, tak że przez chwilę widać było podniebienie i górną szczękę płomieniem oświetlone. Po każdym przełknięciu biegał tam i napowrót jak zwierz dziki, wykrzykując, potrząsając włosami, które mu twarz zakrywały, pochylając się nad muzykantami. Tymczasem w tygielku grzano łopatkę żelazną, którą teraz czerwieniejącą kapłan mu podał... nie patrzałam; podobno wargi po niej przeciągał i lizał ją. I znowu biegał, kręcił się, stawał na palcach, wprawiając członki w jakieś niezmiernie szybkie drżenie, i mruczał i rzucał się. Aż miotelkę zapalono u tygielka i podano mu; a on wyjął ręce z rękawów

koszuli, wziął ogień pod koszulę, jedną ręką oddalał koszulę od ciała, drugą przemykał ten płomień wzdłuż ciała, jakby głaskał się nim; wreszcie zrzucił koszulę, został do pół nagi z tą głownią w ręku, przytulił ją do nagiego pasa, założył na niej ręce i tak chwilę trwał, potem runął na ziemię, rzucono na niego burnus, koniec. Czem jest rzecz ta w życiu Arabów, czy z religią ma związek, czy jest tylko popisem, czy ekstaza bezwzględnie jest prawdziwą, co ją wywołuje — trudno na razie dociec.



16-go marca.

Wczoraj w południe ruch się zrobił na dziedzińcu: wszyscy z okrzykami w niebo spoglądają; wybiegamy i my: to przelot szarańczy (pomyślałam zaraz o Twoim patronie). Leciały owady tak nisko, że każdy z osobna się widziało, a patrząc na nie w kierunku słońca, gdy wzniosły się trochę, miało się wrażenie chmury złocistego pyłu. Ludzie się tu ich boją bardzo, ale nie tyle tych latających, co młodych, bezskrzydłych, które nawet korę z drzew ogryzą, zniszczywszy poprzednio wszystko, co zielone. Te latające natomiast są cenionym przysmakiem; Arab, który nam do stołu służy, powiedział: »to raki pustyni.« Twojego patrona zatem już teraz lepiej się rozumie, z czego rada jestem, bo ta szarańcza w jego dziejach mi zawsze zawadzała. Po południu spotkaliśmy wyrostka, który już je jadł, ugotowane i posolone. Takie zjawienie się szarań-

czy jest zapowiedzią pustynnego wiatru. To też pod wieczór już słońce było jakby zapyłone, a dziś go wcale nie widać.

Po południu chodziliśmy długo wśród palmowych ogrodów; daktyle — to najcenniejszy, może jedyny wywozowy produkt oazy. Słyszymy już w Europie, że palma »chce mieć głowę w ogniu, a nogi w wodzie«; ku dostarczeniu zatem jej tej wody wszelkie usiłowania są skierowane: francuska kampania czy rząd ujmuje gdzieś w sąsiednich górach strumienie, kanałami do Biskry je prowadzi, a tutaj jest biuro, które odpowiednim systemem kranów, rur, grobel, tam, upustów dostarcza każdemu obywatelowi tyle wody, ile jej tenże opłaca. Każda palma stoi w rowie, który peryodycznie wodą się napełnia. Ziemne roboty w tutejszych ogrodach są przeciwieństwem do tego, co się robi w Holandyi: tam — wszystko skierowane ku temu, by sypiąc zagony jak najwyższe, ratować rośliny od wilgoci, tu — by roślina stała jak najniżej w stosunku do poziomu ziemi. Obywatela zamożność nie mierzy się tu ilością posiadanych morgów, ale ilością wody, jaką w biurze opłacić może. Ziemia, sama przez się, ziemia, której zwilżyć nie ma czem, wartości nie ma żadnej; zdaje mi się, że o obszarze oazy nietyle decyduje jakość ziemi, jak zakres, który dana irygacja objąć może, gdyż glinka oazy nie zdaje się być różną od tej, po której na pustyni chodzimy. Ale od palm odeszłam, droga wązka wije się przez parę wiorst między

nizkimi glinianymi murami, z poza których las palm wyziera i chyli się ku nam. Palma w Europie jest sztywna i konwencyonalna, bo mała i samotna. Tu, te długie, lekko zgięte



...nic naokół – tylko te królewskie drzewa.

linie o wytryskującym geście, powtarzające się jak okiem sięgnąć na coraz to innej wysokości, te smukłe pnie misterną łuską zdobne, kołyszące jedne ponad drugimi pióropusze swoich wierzchołków, mają coś tak bujnego i majestatycznego, iż człowiek północy wnet rozumie, że mu się tu przyroda stref gorących objawia w je-

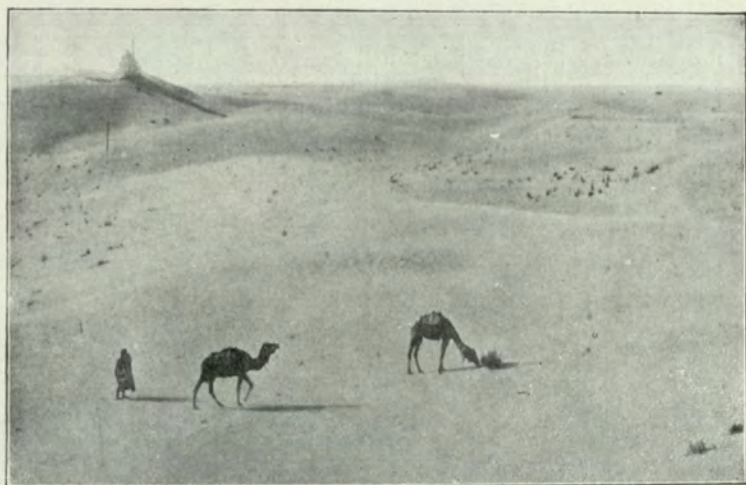
dnem ze swoich arcydzieł. — I idziesz tak, i idziesz... nie naokół — tylko te królewskie drzewa, a wieczorne słońce ściele ci pod nogi i kładzie na przeciwległym murze cienie ich pni i pióropuszków; od czasu do czasu, na łagodnym zakręcie drogi ukazuje się biała postać i przemyka cicho jak cień, czasem dwie miniesz, a zawsze ciche, poważne... i zawsze w rysach ich — wykwint a w fałdach odrzuconego lub otulającego postać białego burnusa, zawsze — doskonała linii szlachetność.



19-go marca.

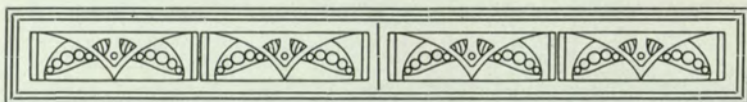
Spotkaliśmy tu dziś w kościele znajomego pana S., który namówił nas do przejażdżki po szosie, wiodącej pustynią ku Algierowi. Używać europejskiego powozu i szosy na pustyni — czy to nie szkoda? ale czego człowiek nie robi dla towarzystwa?... Więc pojechaliśmy aż do łańcucha skał, które okalają nasz północny horyzont; i tam na niską przełęcz zwaną »le col de Sfa « wyruszyliśmy piechotą. Widok rozległy: Biskra jest na horyzoncie zieloną linijką a między nią i nami leży, według słusznego wyrażenia pana S., wielka skóra lwia, w słońcu się mieniąca. Szosa nasza ledwo się rysuje białawo na tem złocistym tle; zato wszystko, co ciemniejsze odcina się z twardością szczególną; więc, gdy na tej szosie zjawia się karawana, wielbłądy są dla oka mało od pcheł większe, a już je widzisz tak wyraźnie, że się to zdaje jak w lornetce trzymanej na odwrót... Idzie ich kilkanaście, gęsiego; widzisz pomimo tego oddalenia charakter ich chodu... senny, zadumany... i ta wyraźność, na tę metę taką jest sprzecznością, tak ci mąci pojęcie, że zaczynasz podejrywać, że nie na jawie jesteś...

— 24 —



. . . . zdaje się to jak w lornetce trzymanej na odwrót.

Panowie tą samą ścieżką poczęli do powozu wracać, lecz ją ją opuściłam, zboczyłam trochę w skały, gdzie oczy poniosą... spłoszyłam szakala; grzało się nademną szare, puszyste stworzonko i na mój widok poczęło wolno w górę uciekać, myślałam, że zajac... ale kitę spostrzegłam, a zaraz potem stanął i szpiczastą psią mordkę do mnie zwrócił, wówczas pomyślałam »jakiś mizerny, blade lis« — a potem dopiero błysło mi, że to szakal... co też wszyscy potwierdzili... bo lis, zresztą, byłby tu rzadkością. I inne jeszcze zwierzę spotkałam, jakiś gryzoń jasno płowy, o ruchach szczura, ale o wiele od niego grubszy, przebiegł mi drogę i w szczelinie skały się schował.



22-go marca.

Jeszcze dziś o pustyni... bo pierwszy to raz użyliśmy na niej naprawdę. Zrazu zdawała się nam ona obojętna, mało pojętna... Ot, pustka, i już. – Dłuższego czasu było potrzeba, aby zrozumieć tę nieznaną dotąd mowę przyrody. Wszak i naszą »zieloną przyrodę« rozumie i podziwia prawdziwie dopiero ten, kto w nią wniknął; dla niejednego mieszkańca miasta mowa naszych pól jest równie obcą, jak dla nas »ogród Allaha«... tak Arab nazywa pustynię...

Nareszcie — zaczęliśmy ją rozumieć... Na to przede wszystkim uciszyć się było trzeba, poskromić tę żądzę kalejdoskopowych wrażeń, która w duszy Europejczyka panuje... Wtedy ten jasny, rozległy spokój jakoś pogłębia duszę, upraszcza ją... i oczy widzą inaczej: pustka zamienia się w symfonię przestrzeni i światła... i tak jak ona krańców niema, tak i tobie — nigdy jej dosyć.

Dzisiejsze nasze wrażenie możnaby i symfonią barw nazwać.

Jeździliśmy znowu na północ Biskry do podnóża tych skał, które na naszym horyzoncie półkolistą tworzą panoramę... byliśmy koło źródeł gorących »Hammam Sala«. Grunt musi tam być powulkaniczny, bo w bliskości źródeł czuć siarkę, a na wszystkich wzgórkach wokół bieleje jak szron, saletra. Dalsze pagórki pokryte czemś jakby kawałkami lawy, inne są bladozielone od innej jakiejś che-

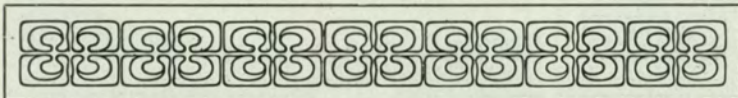


. . . . piaskową przestrzeń, łamiącą się w drobne kopce, urwiska, szańce.

mikalii. Wystaw sobie olbrzymią piaskową przestrzeń, łamiącą się w drobne kopce, urwiska, szańce, oświetloną jaskrawo a pomalowaną jakby pastelami w najnieprawdo-

podobniejsze kolory... bo, żeby dodać jeszcze fantastyczności temu doborowi barw, słońce kładzie na tę przestrzeń błękitne ruchome plamy, które są odbiciem każdego obłoczka pod słońcem przemykającego. I te barwy z baśni, zmieniające się co chwila według gry obłoków i położenia słońca, pokrywają nie tylko płaszczyznę, ale rozciągają się na kolistą panoramę skał; szczególnie dalsze góry mieniają się wszystkimi kolorami tęczy z przewagą różowego; gdy zaś padnie na nie błękitna plama przemykającego po niebie cienia, nie wiesz już, gdzie się góry kończą a gdzie zaczyna niebo... czujesz się jakby we wnętrzu olbrzymiego pryzmatu, czy też promienia słońca na tęczowe barwy rozszczerzonego, boś zewsząd otoczony blaskiem i smugami koloru. Wietrzyk rzeźwiąco powiewa i szłoby się bez końca z jakąś mocą i lekkością dziwną po błyszczącym zwirze w urwiska i pagórki się ścielącym... lekkość rzeczywiście szczególnie daje to powietrze (przez swą suchość może)... Dość, że chwilami wyraźnie się czuje, że się odдыcha nie tylko płucami, ale całą powierzchnią ciała... I ztąd jakieś upojenie... i uczucie, że jeszcze trochę, a człowiek by skrzydła do lotu rozwinął...

Przychodzi na myśl ostatni ustęp Farysa.



25-go marca.

Rano lubimy chodzić na plac targowy. Ten lud, wśród którego znaleźliśmy się, budzi w nas im dłużej, tem więcej zajęcia. Zaczęło się od rzeczy zewnętrznych, ubrania i twarzy. Ubranie nie spowszedniało nam jeszcze... jego białe linie są zawsze miłe dla oka. Twarze...! jakże w każdą nie patrzeć z bezczelną omal ciekawością, gdy napotykasz w nich kolejno wszystkie odcienia rysów i barwy od najwykwintniejszego semickiego typu o orlim nosie, sobolich brwiach i idealnie czystym owalu — do murzyńskiej czerności, grubych warg i spłaszczonego profilu. — To zaś, co się uchwyci z ich obyczajów, ma zwykle coś tak zagadkowego, że dziwnie nęci do wnicania w nie. Więc patrzymy, patrzymy... stąd bywanie na targu. Ruch tam wielki, ale cisza; Arabi, choć ich pokrewieństwa z żydami w niejednym dopatrzeć się można, n. p. w gardłowych dźwiękach mowy... w obojętności dla rolnictwa a zamiłowaniu do kupiectwa... nie mają zgoła żydowskiej łatwości słowa. Ta cichość jednak nie ma nic



Plac targowy.

wspólnego z apatyą... przeciwnie, przy zetknięciu się z Arabem uczujesz zazwyczaj tyle pogody promiennej w jego duszy, że się tem wprost zdziwisz... bo, mówisz sobie, że ty w takim stopniu radość objawiać koniecznie byś potrzebował... i to nieraz hałaśliwie... On — umie trwać w niej, milcząc.

Ich bezbrzezną obojętność na wartość czasu można najlepiej obserwować na targu: widzisz ludzi siedzących poważnie na ziemi, przed jedną bryłką soli, którą mają na sprzedaż... lub przed garstką daktyli... lub jedną wiązeczką zielonej trawy jęczmienia. A jakie dziwne dalej napotykasz przedmioty: pieczone szarańcze... pełne kosze żywych jaszczurek, które na miejscu rozpruwają i wypy-

chają... kudłate kozie skóry, od których tylko głowę i końce nóg odcięto, wypełnione daktylami... (Takie same skóry, dziegiem wewnątrz wysmarowane są powszechnie używanym naczyniem do wody; są to pewno te same »bukłaki«, o których mowa w Piśmie św.). Nad węgielkami smaży coś Arab: to baranie serca, przysmak ulubiony. Obok piecyk z gotowanym bobem i garnek czerwonego płynu, zupa z pieprzu tureckiego — obiad gotowy dla przybysza z stron dalszych. Golenie głów też się tu odbywa wśród przechodniów... a z namaszczeniem, jak wszystko, co oni robią. — Spotkasz tu też nieraz waryatów... są oni czcياً otoczeni, przynoszą rzekomo błogosławieństwo na to, z czem się zetkną, zowią ich świętymi: »marabot«. Stoją też na placu te maleńkie ich osiołki objuczone suchemi, pokręconemi gałązkami na sprzedaż — to zdrzewniałe łodygi pustynnego zielska służące za opał a wielbłądom za paszę. Osiołki te, o ile inne rzeczy noszą, objuczone są podwójnymi koszami z trawy Alfy, umyślnie na to wyrabianemi; zwierzęta domowe bowiem nigdy tu nic nie ciągną, ale zawsze wszystko noszą. Stan dróg jest najlepszym tego dokumentem: zupełny brak ruchu kołowego sprawia, że są one zawsze niczem innym jak szeregiem równoległe biegnących kilku lub kilkunastu ścieżek, ilość takich ścieżek odpowiada faktowi, że wszelkie podróże odbywają się gromadnie. Ale wracam jeszcze na plac targowy; można się tam przyjrzeć jednej ciekawej właściwości Arabów, t. j.

sposobowi ich siadania. Że ludzie Wschodu na ziemi siadają, o tem wiemy wszyscy, to jednak, co my nazywamy »siadać po turecku«, nie często tu napotykamy; uderza nas natomiast, że przy siedzeniu lubią mieć kolana jak najwyżej w stosunku do reszty ciała; z nawyknienia tego wyni-



Typy na targu.

kają nieraz bardzo dziwne pozy. Ale powiedziałam, iż sam sposób siadania ich różnym jest od naszego: my, aby sięść na ziemi, musimy się zgiąć i nogi w jakiś sposób podwinąć, uchylić; oni spuszcza ją się prostopadłe na ziemię i tak siadają; my siadamy na ziemi tak, jak kładzie się koń lub krowa, kilkoma skombinowanemi ruchami, w których

znać wysiłek; oni siadają ruchem jednym jak pies i tak samo wstają. Mówiąc o ruchach, wypada wspomnieć i ten szczególny, którym matki biorą dzieci za jedną rękę i zrzucają je sobie na ramiona jakby worek.

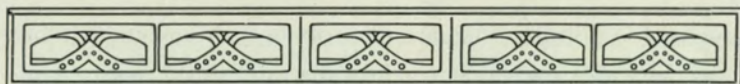
Gdy już mówię o kobietach, zaznaczam, że z ich widokiem tylko bardzo rzadko spotkać się można. Owa matka, o której wspomniałam, to uboga, często żebrząca Beduinka, czyli Arabka koczowniczego plemienia. Biskrzańskiej obywatelki — nie zobaczysz. Kobieta według Islamu niema duszy... jest czemś pośrednim między mężczyzną a zwierzęciem. Więc w niczem udziału nie bierze... nigdzie nie wchodzi w rachubę... Każdy, kogo na to stać, zamyka ten swój przedmiot domowego użytku, i — nie mówi więcej o nim. Poprostu — niema jej.

Jedynie jeszcze, prócz ubogich kobiety, które zobaczysz — to owe tancerki, »Ouled Nail«; bo one — niczyje, a raczej — wszystkich własnością. Ta pozycja społeczna nie jest tutaj uważana za poniżającą; a jest to dosyć logiczne... bo, poniżonem być może wszak tylko to, co ma jakąś godność, a tu kobieta jest »rzeczą«... I dziwnem jest, jak się to czuje w atmosferze tych ulic, które nie są na mieszkania wydzielone... Pisałam poprzednio o tych ulicach...

Najmniejszej odrazy nie wzbudza widok tych strojnje ubranych, utatuowanych i wymalowanych dziewcząt, każda siedzi pod latarką u progu maleńkiego, białego domku; dziwnem jest, że w żaden sposób nie można wyczuć

w tem zepsucia, upadku, choć rzeczywistość nie ukrywa się pod osłonką żadną. Może egzotyczność tła, postaci, strojów, twarzy sprawia, że mimo wszystkiego zdaje się to fikcją... albo może jest się zasugestyonowanym duchem Islamu... Z całego sposobu życia tych kobiet wnioskować można, że one patrzą na swój zawód jako na obowiązek, każdemu innemu równy.

Biorąc pod uwagę to muzułmańskie pojęcie o kobiecie, zastanović się nam wypada, co z niego musi wypływać — oto jasnym nam teraz, dlaczego jest tak trudno lud ten zrozumieć. Islam to, bez wątpienia leży na dnie tej i nęcącej i drażniącej zagadki, którą nam tu oni stawiają. Czuje się między nimi a nami jakiś mur, przeszkadzający wzajemnemu wchłanianiu pojęć o ileż silniej, niżby to sprawić mogły same różnice etnograficzne. Ten mur — to niewątpliwie duchowość Koranu, przeciwstawiająca się duchowości naszej.



28-go marca.

Tyle wrażeń byłoby do pisania, że nastarczyć trudno... Pustynia czaruje nas coraz bardziej... ale dzisiaj trzeba jeszcze pozostać przy rzeczach pozytywniejszych, nawiązać do ostatnich »ludoznawczych« notatek o stroju mianowicie.

Te same zawsze motywy, ale stopień zamożności i sam nawet sposób zarzucania owych burnusów, układających się jakoś zawsze w harmonijne linie, dostarczają tej dozy różnorodności, jakiej potrzeba, by rzecz piękna nie spowszechniała.

Więc najpierw masz szarawary białe, które są prawie spódnicą... na to przychodzi kaftan sukienny, barwny, haftowany, czasem jedwabny; szarawary przepasane pasem podobnym do naszego kontuszowego; na to kładzie się przez głowę rodzaj dalmatyki czy rzymskiej tuniki z jakiejś białej tkaniny, sięga ona kolan, zowie się »gandora«. Śliczne hafty zdobią ją koło szyi. Robota to krawców, kobiety »na to za głupie«... one, co najwięcej tkać mogą... nawet

wyprać nie potrafią dostatecznie dobrze tych wszystkich białości, w które mężczyzna z lubością się stroi... widzieliśmy mężczyznę, jak nad strumykiem z pietyzmem rozkładał w celu wysuszenia śnieżno biały burnus i gandorę... z namaszczeniem to spełniał jakby obrządek.

Na ową gandorę przychodzi biały burnus z cienkiej



... maleńkie osiołki objuczone suchymi gałkami ...

welny; burnus — to peleryna z kapturem stóp sięgająca... na pierśiach spojona ślicznym jedwabnym tkanem... kładzie się przez głowę. Na ten burnus przychodzi drugi, identycznie tego samego kroju, z grubszej białej welny. Ten drugi burnus jest u elegantów...

może u postępców... z sukna kolorowego. Zdawałoby się, że takie ubranie powinno krępować swobodę ruchów... tego jednak nie znać wcale... swobodni są... ale przytem jest w ich ruchach jakiś prymitywny majestat. Czy odrzucają obie strony burnusa z ramion na kształt naszych wyłogów, czy, jak Rzymianie togę, lewy koniec, poprzez piersi, na prawe ramię zarzucają, czy jeszcze inaczej go ułożą, zawsze, z tych linii — uczta dla oczów.

O ile są obuci, noszą pantofle rozmaitych kształtów i skarpetki... łydka zawsze goła; wśród bosych spotyka się ciągle, pysznie ukształtowane nogi, które, gdy jeszcze miedzianego koloru skórą są powleczone, zdają się być częścią spiżowego posągu. O nogach mówiąc, wspomnę o ich chodzie: szczególnie jest elastyczny. My, wogóle, stawiamy na ziemię najpierw piętę, fotografia to wykazuje... oni, najwyraźniej, stawiają na płask całą nogę... czasem nawet robią to, czego nauczyciele tańca daremnie nas uczą, t. j. palcami najpierw dotykają ziemi; ztąd wynika, że zginają bardzo znacznie kolana; przytem trzymają się, idąc, bardzo prosto, z piersią naprzód a głową w tył odrzuconą. Młody Arab, idący spiesznie drogą, szczególnie gdy jeszcze liść palmowy w ręku trzyma, nasuwa mi nieraz myśl jakiegoś posągu greckiego efeba, zwycięstwo zwiastującego.

Jeszcze o ubraniu głowy trzeba mi wspomnieć: czerwona jarmułka zdaje się być od głowy zupełnie nieod-

łączna, nawet w domu. Ale szanujący się człowiek nie pokazuje się bez turbanu na tę jarmułkę włożonego; jestto długi cienki ręcznik, który nie tylko okala kilkakrotnie głowę, ale i twarz, ujmując ją w białą ramę, która ślicznie uwydatnia owal. U bogaczy, na białem tle ręcznika, widnieje na głowie kilka rzędów cienkiego żółtego sznura... sznur ten z sierści wielbłądziej w misterny sposób zrobiony, kosztuje tysiące, jest zatem zawsze znaczniejszej osoby znakiem.

A kobiety... spotykane Beduinki są nędzne, drobne, wyschnięte, ale nawet najnędzniejsza, obdarta, ma kosztowności sporo: obrączki srebrne na rękach i nogach, zapinki srebrne podtrzymujące suknię na piersiach, duże srebrne koła naksztalt kolczyków, ale nie w uszy włożone, tylko wbite w turban ponad uszami, i — przedmiot nieodzowny — lusterko na łańcuszku, na piersiach wiszące. Osiadłe Arabki, wychodzące na dwór, zawijają się od stóp do głowy w biały muszlin, zasłaniając sobie nim i twarz w ten sposób, że zostaje maleńki tajemniczy trójkącik, przez który jedno oko ciekawie na świat wyziera; postać taka grubo, niezgrabnie wygląda. Widziałam jednak te niewiasty i bez opon, w pięknej łaźni »Hamman Scherif,» i tam się im przypatrywałam ubierającym i rozbierającym się. Suknia jest u wszystkich, bogatych czy biednych, dziewcząt czy mężatek, Beduinek czy osiadłych (wyjąwszy tancerki), tego samego kształtu. Jestto jeden długi bryt, bez żadnego kroju ani szwu, tak dowcipnie złożony, za-

pięty i sznurem w pasie podtrzymany, iż śliczny tworzy ubiór; w tym stroju, tak samo jak w męskim, uderza poczucie linii.

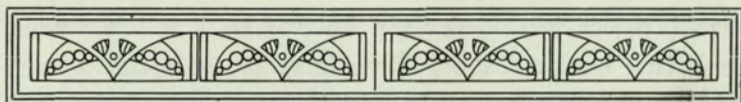


... Suknia ... jestto jeden długi bryt, bez żadnego kroju ani szwu.

Ubranie głowy — to cała opowieść: w warkocz, dla zwiększenia go, wplata się włóczkę czerwoną, brązową lub niebieską; powstają w ten sposób grube kolorowe warkocze, kilka łokci długie; układa się je na wierzchu głowy (ma to być może osłona od słońca, jak turban u mężczyzn?) albo zwiesza półkolem koło uszu.

— 39 —

Na to kładzie się wielką ilość jedwabnych chusteczek, poskręcanych na sznury i krzyżujących się po głowie w rozmaitych kierunkach; tworzy się z tego turban, do którego się wpina jak najwięcej szpilek, brząkałek, łańcuszków. Na zakończenie niewiasta szczególnie się strojąca zaczepta na tym zawoju od jednej skroni do drugiej naszyjnik lub łańcuch, który ujmuje jak w ramkę owal twarzy. Wychodząc z łaźni, zakrywa się to wszystko szczerlnie ową białą oponą, aby żadne oko, prócz pana i władcy, cieszyć się tem nie mogło. Tancerki zaś, czyli »Ouled-Nail,« cieszą się specjalnemi prawami: opon nie noszą, bo one właśnie przeznaczone na to, aby wszelkie oko cieszyło się niemi. Suknie ich też różne zupełnie — noszą rodzaj szlafroków spiętych pasem zawsze bardzo kosztownym. A kosztowności na szyi, rękach, nogach mają tyle, że dźwięczą, chodząc; jestto sposób lokowania majątku, który zbierają.



29-go marca.

Jeszcze dziś o ubraniu, o tem mianowicie, jak dzieci wyglądają. Przedewszystkiem są tak piękne, że choć nieraz natrętny dzieciak nudzi cię i nudzi o sous'a, (bo żebractwo dzieci istną jest tu plagą), puszczasz mimo uszów monotonne jak litania powtarzane »Mssassa Sourdi,« aby patrzeć a patrzeć w te przepaściste oczy. Dziewczynka, w takich razach od lat najmłodszych dobrze świadoma swych wdzięków (bo wszak celem jej istnienia — jej uroda), mizdrzy się kocimi ruchami wprawnej zalotnicy. Twarze utatuowane często się między niemi spotyka. Chłopców głowy, o ile starsi, ogolone są starannie i przystrojone w nieodstępny fez; małych chłopców głowy golone »z fantazyą« t. j. tak jak się to robi czasem z pudłami: maleńkie wyspy czarnych kędziorów zostawione gdziegdzie; dziwną to dzikość nadaje twarzyczce. Nie mają oni też burnusów, lecz tylko »gandory« (ob. str. 35 o ubraniu mężczyzn) i to zazwyczaj jakiejś barwy jaskrawej, szafranowej lub ametystowej. To też widok gro-

madki dzieci jest »bajecznie kolorowy«... te ich śniade, miedziane i czarne skóry pysznie grają w słońcu z czerwienią, żółtością i purpurą odzieży.

Skończyłam rzecz o strojach, zato mam dziś do zanotowania ciekawe zjawisko: od wczoraj słońca nie widzimy, błędem wszakże byłoby powiedzieć »pochmurno jest,« bo piasek a nie para wodna słońce nam zasłania. Wczoraj po południu zerwał się wiatr bardzo silny, powiedziano nam, że to »sirocco«, że równie silnego od dwóch lat nie było. Rzeczywiście, hotelik nasz trząsł się, a w pokoju, mimo zamkniętych okien, wszystko się pokryło powłoką białego pyłu; żadnych jednak kłębow pyłu nie było widać na dworze, ten pustynny piasek jest za subtelny na to. Wieczorem wiatr ucichł, ale w powietrzu piasek pozostał, bo latarnie na dworze spowite były jak we mgłę londyńskiej. Dziś z rana było cicho, koło 10 wiatr znowu powstał i zapowiedziano nam, że za pół godziny przyjdzie nowa fala piasku. Wiatr jednak podniósł się widać w górę, bo go prawie czuć przestaliśmy, piasek zaś istotnie przybył, i to w ilości wielkiej, bo powoli światło dzienne stało się żółte, barwy glinki. Dziwne to było wrażenie... żółta mgła ta po chwili nabrała na wschodniej stronie widnokregu odcieniów zielonawych, a na zachodniej stała się sinawo-fioletowa, różowem się mieniąca.

Nie wiem, jak się tłumaczy to zjawisko, chyba tem, że ten piasek nadzwyczaj subtelny, zdolen jest rozszczepiać

promienie słoneczne, tak jak to czyni para wodna... i żeśmy byli jakby we wnętrzu tęczy.

Tymczasem ściemniało tak, że w południe zupełnie mroczno było w pokoju, a po chwili zaczął padać deszczyk, a... był to deszcz błotny; i nie dziw: spadał bowiem poprzez ten pył, którym powietrze było napelnione. Mam jeszcze oto na sobie suknię pokropkowaną drobnymi piaskowemi plamkami.



2-go kwietnia.

Wczoraj przybyło zwiedzić Biskrę kilkudziesięciu doktorów z kongresu międzynarodowego w Algierze. Dla uczczenia ich urządzono wczoraj wieczór w ratuszu »une fête arabe«. Byliśmy tam. W dziedzińcu wewnętrznym, okolonym krużgankiem, zasiedli, jak zawsze na ziemi, Arabi muzycanci: ich instrumenty to bębny, tamburyny i flety; dalej długi szereg tancerek, Ouled-Nail, w strojach najodświętniejszych; siedzi ich kilkadziesiąt przybranych jak bożyszczka, obwieszonych złotościami i jak bożyszczka nieruchomych, hierarchicznych. Przeciwległy kąt dziedzińca zajmuje pstra, łachmaniasta ciżba murzynów, mężczyzn, kobiet, dzieci; znać po nich, iż się czują być dekoracją i chcą należycie temu odpowiedzieć.

Przez dwie godziny patrzymy z krużganku na tańce; tańce kobiet zawsze są solowe, a głównym ich motywem ten ohydny ruch brzucha, znany pod nazwą »danse du ventre«. Zdaje mi się, że gdyby ruch ten splatał się z wie-

loma innemi, lekkimi, falistemi, wężowatemi, całość mogłaby zrobić wrażenie w swoim rodzaju estetyczne; sposób tańczenia



Tancerka Ouled-Nail.

jednej tancerki okazywał to. Ale ogół kobiet tańczących tak jest bierny i obojętny, tak niema w ich popisie nic innego jak tylko te podskoki brzucha, że jest to nawet nie zmysłowe, tylko poprostu nudno brzydkie. Ładnym momentem był męski taniec mieczów, rodzaj szermierki w takt muzyki; a jeszcze ładniejszym wojenny taniec murzynów. Koło utworzone przez 30-tu mężczyzn otacza muzykę i przy dźwięku jakby

— 45 —

marszu rozpoczyna się to, co w naszych tańcach zowie się »chaîne anglaise«, tylko że zamiast podawania sobie ręki, uderzają się wzajem w trzymane w rękę maczugi, podkreślając rytmicznie tem uderzeniem takt muzyki.

Z początku tańczyli dość spokojnie, potem maczugi poczęły wirować w powietrzu, czarne ciała przykucaly, kręciły się zapalczywie, namiętnie, nie chybiając wszakże nigdy chwili uderzenia.

Wrażenie całego widowiska osłabiało oczywiście przekonanie, że był to pokaz dla Europejczyków, więc zdawało się to niczem więcej, jak doskonale inscenizowaną poezją... Ale ciekawe było jednak mówić sobie, że jest to coś innego, jak zwykle widowisko, bo ci ludzie nie grają przecież komedyi, tylko pokazują nam u siebie własne swe obyczaje.



8-go kwietnia.

Parę dni nie pisałam; dziś nareszcie o pustyni ci mówić będę; postaram się zebrać w jedno wrażenia o niej z dni wielu, bo wieleż to już tych dni, w których to na mułach, to pieszo »zwiedzamy« nasz horyzont wschodni, północny i zachodni; okolice lekko górzyste; ostatnie »granic pustyni pilnujące głazy«, jak mówi Farys. Ta postać pustyni nęci nas jakoś więcej, niż morze piasku, które leży na naszym południu, rozlewając się na widnokręgu w taką dal niezmierną, nieobjętą, że gdy człowiek tam spojrzy, poważnieje, jakiś respekt dziwny się w nim budzi... głąb Sahary — dosyć powiedzieć... Tamta górzysta strona nas schwyciła jakoś pierwsza, zaczęła swojej mowy uczyć, zaczęła rozwijać przed nami fałdy swych szat cudnych i tak nas w sobie rozkochała, że już tylko jej jednej ciekawi jesteśmy..

Ze wstydem przyznaję, iż ostatniemi czasy nieraz się siebie z niepokojem pytam, czy teraz za powro-

tem do kraju zdołam w naszej przyrodzie piękność widzieć? Czy te barwy bogate, kształty olbrzymie, przestrzenie niezmierzone nie sprawiają, iż blademi i niemiłosiernie biednemi będą dla nas widoki europejskie?

Tu człowiek ciągle uczy się tej prawdy, że piękna warunkiem — prostota, bo jakże nieliczne są środki, któremi przyroda tutejsza nas tak olśniewa: nagie skały, naga u stóp ich równina, nad tem niebo... i nic więcej... tylko to wszystko oblane światłem, takim światłem, od którego samo powietrze zdaje się iskrzeć i promienieć.

Rozumie się też tutaj, że ludy wschodnie czuły przede wszystkim w Jehowie, w Allahu, te właśnie przymioty Boga, o których przyroda Wschodu najgłośniej mówi: Boga wielkość, niewzruszoność, jedność, odwieczność. Wydaje mi się, że idea chrześcijańska może trudniej się tu przyjmować niż gdzieindziej, bo pustynia nic człowiekowi nie daje, nic zatem mu nie mówi o miłości Boga względem ludzi, zdaje się być jedynie hymnem, który Bóg śpiewa »o samym sobie, samemu sobie...« Uwierzyć w Boga, który się zniża aż do człowieczeństwa, aż do jego nędz, przychodzi z pewnością synowi pustyni trudniej, niż to było ojcom naszym. Taki kraj jest gruntem deizmów... Zato w duszy chrześcijańskiej jakże ów ogród Allaha potężnie może rozwinąć pojęcie o wielkości Boga.

Wczoraj wybraliśmy się pieszo na »zdobycie« jednej przełęczy, zdawna upatrzonej na północnym naszym hory-

zonce: kilka kilometrów równiny... poczem grunt, kamieniami usłany, zaczął się wznosić, kamienie zwiększać... ścieżka nasza prowadziła po głazach, jakby po ogromnych stopniach. Po chwili, na przełęczy, nad głowami naszymi, ukazało się dwóch Arabów.

Znikli za sterczącą skałą, potem ukazali się już tuż nad nami, a był to widok, do którego skończonej piękności już nic nie brakło: ta skalista pochyłość oparta o szafir nieba, a na niej te dwie białe postacie prostolinijnością swego stroju szarmonizowane tak doskonale z krajobrazem. Minęli nas, pozdrawiając: pokojowego zdali się być usposobienia... w takich miejscach odludnych każde spotkanie ludzkiej istoty wywołuje jednak znak zapytania pod tym względem. I to nie tylko w nas, ale widocznie i pośród nich samych, bo na pustyni napotyka się zazwyczaj w ich ręku coś, co na pierwszy rzut oka zdaje się być niewinną laską, ale właściwie bynajmniej nią nie jest, bo jest to narzędzie krótkie, a na końcu ma znaczne zgrubienie, często gwoździami nasadzone, zatem — maczuga. Gdy się Araba spotyka, przedmiot ten znika nieznacznie w fałdach burnusa, gdyż rząd francuski, który pod prawem wojennem trzyma krajowców, zabrania noszenia tych »lasek«, za broń je uważając. Ksiądz miejscowy ma zbiór takich maczug i drewnianych szabel; wyglądają one jak zabawki, a jednak jest to wszystko materiał dowodowy śledzonych w sądzie zabójstw: widać, że im człowiek bliższy przyrody, tem

pierwotniejsza broń mu wystarcza. Jeszcze dwadzieścia minut, a dosięgliśmy przełęcz, ogarnialiśmy teraz okiem szmat pustyni, którego widok góry nam zasłaniały. Poczem zasiedliśmy do daktyli i pomarańcz, dobrze zasłużonego podwieczorku, mając przed sobą jak na dłoni całą tę równię pochyłą, dopiero co przebytą. Niebawem, u stóp jej zjawiała się biała postać, dążąc ku nam; (snać ścieżka ta musiała być jakimś pustynnym szlakiem). Jak ci ludzie chodzić umieją! drogę, co nas tyle czasu i trudu kosztowała, on przeszedł w mig, stąpając lekko bosą nogą po tych ostrych kamieniach. I oto już był o parę kroków młodzieniec małego wzrostu, o miedzianej skórze i profilu wziętym, zda się, z egipskiego grobowca; siadł przy nas ze słowem pozdrowienia. Poczęstowaliśmy go papierosem i daktylami; palił i jadł w milczeniu, błyskając w uśmiechu białymi zębami; a gdy już zbieraliśmy się do odejścia, wdzięczność w nim widać wezbrała, bo nagle stał się wymownym i kładąc rękę na piersiach, mówił mi jakieś śliczne niezrozumiałe rzeczy, powtarzając je z desperacją coraz głośniej.

Takie spotkanie, niby to nic... a jednak nam dziwnie ono jeszcze zwiększa czar doznawanych wśród przyrody wrażeń. Jeszcze jedno opowiem: raz zaszliśmy po paru godzinach marszu przez równinę, w jakieś szczególniejsze zagłębienie skalne: dużo w niem drobnych linii i mieniących się barw, więc wrażenie lżejsze, weselsze od zwykłego pustynnego widoku, nawet, o dziwo, rechętnie żab słyhać w bagienku;

a znowu, gdy z tego miejsca oko w dal posłać, jest i pustynny widok: rozległa złocista przestrzeń, w słońcu roziskrzona, na nutę poważniejszą napowrót nastraja... ale powagi jasnej, kojącej; jestto ton, który, gdyby nad duszą



... Takie spotkanie, niby to nic... a jednak nam dziwnie ono jeszcze zwiększa czar doznanych wśród przyrody wrażeń.

na dobre zapanował, jużby zarówno bezmyślna pustota jak rozterka bólu, przystępu do niej nie znalazły... Nagle zdało mi się, że słyszę odległy dźwięk śpiewu: podnoszę głowę i oto na przełęczy sąsiedniej skały, ponad parowem, rysuje się na niebie biała postać Araba; schodził ku nam śpiewając, i teraz, gdy już nie niebo, lecz jasne skały miał

za tło, więcej się go słyszało jak widziało. Ale wnet przerwał, stanął, widać nas ujrzał i przeciągle zagwizdnął. Poczem, ciągle śpiewając, począł biedz spieszniej, skacząc jak kozica z głazu na głaz. Za chwilę stał już przed nami młody, bosy, ubogo ubrany, małego wzrostu, ale z wyrazem fantazyi takiej, jaką tylko syn pustyni mieć może.

Twego ojca zaniepokoiło nieco owo gwizdnięcie, zważywszy samotność miejsca, więc rękę już miał na rewolwerze i niezbyt życzliwie przybysza przywitał; on się uśmiechnął nieznacznie i parę kroków odstąpił, a my dalej na ziemi siedząc, pożywaliśmy nasz posiłek. Gdy oto nagle o dwieście kroków zjawili się, jakby z pod ziemi, dwaj drudzy, ludzie starsi; zbliżyli się, jeden powiedział nam »bonjour« i stanęli przed nami, rozmawiając półgłosem.

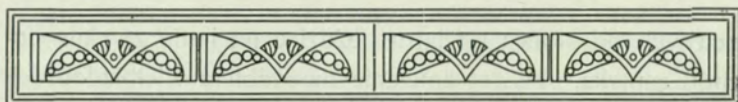
Ja jeszcze ciągle przypuszczałam, że przypadkowem może być to ich spotkanie, ale... drogi żadnej tu nie było, a zresztą sposób, w jaki się do siebie zbliżyli, wskazywał na ludzi, których coś z sobą łączy. I stali tuż nad nami, naradzając się i na nas spoglądając... my, naturalnie, mieliśmy miny animuszu pełne, choć twój ojciec zaczynał być na prawdę niespokojny. Wtem jeden z dwóch starszych odwrócił się nieco bokiem i tym ruchem ukazał mi lufę broni z pod opończy sterczącą; powiedziałam to twemu ojcu, a w tej samej chwili, jakby na potwierdzenie moich słów, ów młody śpiewak odrzucił burnus tym pięknym,

im tylko właściwym gestem, i jemu także zamigotały u pasa jakieś wielkie starożytne pistolety.

I stali nad nami półkolem, rozmawiając; twój ojciec dalej trzymał rękę na rewolwerze, ja dalej tłukłam orzechy i obierałam pomarańcze i komentowaliśmy dalej możliwości tej imprezy. W każdym razie tło jej było wspaniałe.

Nie przypuszczałam, by naszemu życiu co groziło... w najgorszym razie trzeba będzie oddać pieniądze i zegarki... szkoda... ale impreza tak niezwykła też coś warta... Więc niepokój zostawiłam twemu ojcu; rozumiem, że jako odpowiedzialny opiekun doznawał go, bo i mnie, gdybym była sama z jakimi dziećmi, nieswojo by było. Po ukazaniu nam broni stali tak jeszcze z dziesięć minut, może dłużej... potem odeszli o kroków kilkadziesiąt i stanęli u ujścia parowu, w głąb skał idącego... i stali dalej. Przypomniało się nam wówczas, co nam opowiadano, iż w okolicy, w miejscach odludnych, fałszerze pieniędzy mają w jaskiniach swe pracownie i zacięcie bronią tajemnicy swych kryjówek... Posiedzieliśmy jeszcze chwilę, a odchodząc, zagadaliśmy do nich, o drogę do Biskry pytając: nasz śpiewak podbiegł do nas uprzejmie i dawał wymowne po arabsku wskazówki, a oczy mu z pod niskiego czoła błyskały, ale nie dzikością, tylko jakąś uśmiechu pełną bujnością życia; coś sokolego było w nim. I odszedł w przeciwnym od naszej drogi kierunku, lekko, jakby ziemi nie tykał. A tamci dwaj, gdyśmy już się wyraźnie

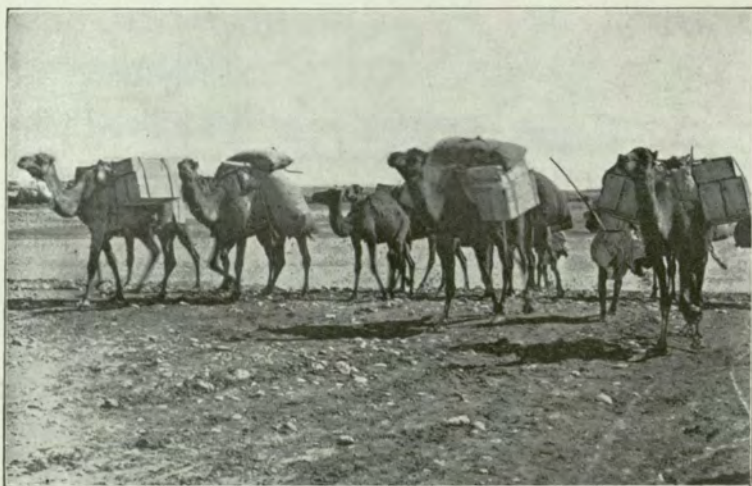
ku Biskrze skierowali, znikli w głębi parowu. W drodze powrotnej pytaliśmy siebie, czy »zbójceckość« tego spotkania nie była przypadkiem wytworem naszej wyobraźni, ale każdy, komu to potem opowiadaliśmy, arcy-poważną robił minę... »udało się wam... do razu sztuka« mówili nam Biskrzańczycy. Wszystko zatem zważywszy i wysłuchawszy, można przypuścić, że byli to istotnie czy fałszerze, czy opryszki drobniejszego autoramentu; może widok europejskiego rewolweru ich onieśmielił na tyle, że już tylko próbowali, czy manifestacyjnym pokazaniem własnej broni nie wyłudzą pokojowym sposobem jakiegoś datku... może uradzili nie zaczepiać nas, o ile nie będziemy ciekawi owego parowu, na którego straży się ustawili. Podobno, w głębi pustyni, na szlakach karawanowych rozbójnictwo jest stałe... tak jak dawniej na morzu korsarstwo; jedno więcej podobieństwo pustyni z morzem. To też gdy się wyjdzie z Biskry takim szlakiem karawanowym, wszelkie kawalkaty, które się spotyka, uzbrojone są groźnie, a to uzbrojenie jest, jak wszystko tutaj, nowym do obrazu materiałem... bo te muszkiety i kindżały są jak żywcem wyjęte z jakiejś wschodniej, średniowiecznej powieści.



10-go kwietnia.

Wspomniałam kilkakrotnie o wielbłądach, dotąd tylko mimochodem, a należy im się osobna wzmianka... bo są jednym z niepoślednich motywów tej cudnej pieśni, którą tutejsza przyroda mi śpiewa; jest w nich dla mnie jakaś tajemniczość »nadmierzęcość,« jakby jakaś odrobina ducha w nich tkwiła... Wielbłądy tutejsze nie są okazałe, tak jak i nędzni, przeważnie, są Beduini, ich właściciele (Beduin to Arab nie osiadły, koczownik); krążą oni od oazy do oazy z towarami; jest to jedyny między oazami środek komunikacji. Co wieczór, czterema głównymi drogami: z północy od Batny, z zachodu od Zibanów, ze wschodu od Sidiokba i z południa od Toumourth, ciągną karawany mające w Biskrze zanoć. Śliczne to wrażenie sięść przy studni u ujścia takiego traktu: przybywa stado po stadzie wielbłądów objuczonych, stąpających cicho jak cienie, prowadzonych przez białe postacie o twarzach

czarnych od słońca i wiatru; jeździec na mule zwykle pochód zamyka. Nawet znużenie nie odbiera wielbłądom ich sfinksowości; zawsze, w ich ruchach, w wyrazie głowy ta sama wykwinтна, lekko pogardliwa obojętność, płynąca, zda się, z jakiegoś zapatrzenia się w dal, w coś jedynie ważnego, wobec którego maleją głód, pragnienie, ból. I przy studni



... przybywa stado po stadzie wielbłądów objuczonych ...

tej, po dniu, w którym słońce i wiatr suszyły na wyścigi, wewnątrz i zewnątrz każde żyjące stworzenie, wielbłąd bez skwapliwości do wody się zbliża; piją wszystkie, ale — jakby jeden więcej obowiązek spełniały. I wielbłądzięta

towarzyszące karawanie już są tą filozofią napiętnowane; wprost wystawić sobie nie można, by które radośnie wierzgnąć potrafiło. Karawany nocują w »Fondiukach«: są to domy zajezdne w kształcie wielkiego dziedzińca, gdzie wielbłądy się kładą, a naokół jest rodzaj krużganku, gdzie śpią ich właściele. Do Fondiuka zatem idzie wielbłąd od studni i tam, gdy się zdrożony położy, kładą przed nim jego posiłek: garstkę suchych, ciernistych gałązek; temu ogromnemu ciału takie pożywienie starczy... Jedyny moment, w którym widzę wielbłąda żywiej zainteresowanego sprawami tego świata, to gdy ładują na niego brzemię: leży, a ryczy cały czas, jakby protestując; gdy już worki na garbie należycie umocowane, Beduini podpierają je ramionami ku górze, by wielbłądowi przy wstawaniu ulżyć: to znak dla niego, innego mu nie potrzeba, ani żadnego okrzyku, ani słowa: wstaje jak sprężyną naciśnięty, idzie... ryczenie ustało, filozofia wróciła.

Garstką suchych cierni naje się wielbłąd.... trzeba mi tutaj dodać, że cały swój dobytek Arab karmi według zasad homeopaty... Jestto jedna z zagadek, które nam stawia przyroda tutejsza — te stada owiec i kóz, które na pustyni spotykamy... one się tam pasą... urągając naszemu pojęciu, że pastwisko, to przecież coś zielonego... Nad nagą glinką stale łepki schylone trzymają... a jednak szczękami ruszają i chude nie są...

Rzecz nie do uwierzenia a jednak prawdziwa: cała Sahara ma właścicieli, t. j. podzielona jest między oazy po niej rozsiane (tylko lotne piaski do nikogo nie należą). Beduini dzierżawią od gmin prawo paszenia, które surowo jest przestrzegane, jak nam mówiono; czego się tu strzeże i kto ustrzedz może? — pyta Europejczyk wobec tych przestrzeni nagich a rozległych jak ocean, i raz więcej nie rozumie...



13-go kwietnia.

Mój drogi, jeszcze o pustyni dalej słuchać musisz... Im ją więcej poznajemy, tem bardziej się nam zdaje trafną nazwa »Ogrodu Allaha«, którą Arabi dają pustyni. A w myśli, która tę nazwę natchnęła, widzę jeden więcej dowód, jak głębokie a nieskażone jest ich zrozumienie piękna. Bo, rzeczywiście, skala piękności pustynnej jest o tyle ogromniejsza od tego, co najpiękniejszego pokazać nam może nasza »zielona przyroda«, że jeżeli o tej ostatniej wnioskować można, że jest przeznaczona do radowania człowieka, to tamta niezawodnie Istocie wyższej ma służyć. O zachodzie słońca na pustyni dużo się mówi i pisze... i słusznie... tak, że mi dziwno, że dotąd o tem nie wspomniałam. W Biskrze jest wieża, wybudowana umyślnie przez pewnego Francuza, wielbiciela Wschodu, na to, aby każdy mógł ztamtąd patrzeć na wschód i zachód słońca. Byłam tam nieraz; gdy się trafi na dobry moment, ma się obraz czarodziejski; ale dla mnie jeszcze

piękniejszym jest zachód z samej pustyni widziany. Przed kilkoma dniami wracaliśmy pod wieczór na mułach jednym z głównych pustynnych traktów: la route des Zibans. Wycieczka nasza była powodzeniem uwieńczona: dotarliśmy nareszcie (o co się dawno kusiliśmy) dokońcaowych skalistych pagórków, wśród których mieliśmy owo z »zbójcami« spotkanie. »Odkryliśmy«, że tak jak się zaczyna ten łańcuch, na płaszczyźnie zupełnej, tak się po kilku kilometrach i kończy, nagle, wyraźnie, wyrastając wprost z piasku, bez związku z otoczeniem, jakby dekoracya teatralna i równie jak takąż dekoracya, pstro pomalowany; tylko że te kolory takie są aksamitne, że to musiałyby być dekoracya, do której pastelowych farb użyto. Jechaliśmy zatem, zadowoleni, a słońce szybko się ku górom już zniżało. Nie myśleliśmy o niem w danej chwili, gdy nagle krajobraz przed nami rozciągniony zapłonął tak nieprawdopodobnymi barwami, że nie potrzeba było się na słońce obejrzeć, by wiedzieć, że to chwila tego codziennego cudu nadeszła. Szczególną bo właściwością tutejszego zachodu słońca jest, że często na przeciwległej stronie widnokręgu jest dopiero najpiękniej. Tak było tym razem; wielkie góry Auresu daleko przed nami, na wschód po za Biskrą leżące, zagrały gamą poczynającą się od różowego a przechodzącą w amethyst. Poniżej nich, zielona linia palm Biskrzańskich przecinała horyzont, a od tej linii aż ku stopom naszym, cały szmat żółtej pustyniowej glinki zabłysnął jak lita makata

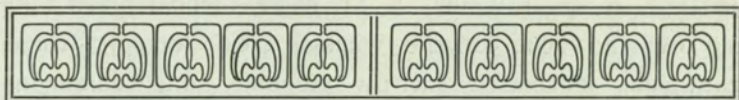
przetykana poprzecznymi nićmi złota i purpury. Na czem zrzadka rozsiana roślinność, gdy ją te ukośne promienie też ozłociły, stała się lśniącym szmaragdowym jedwabiem, wplecionym gdzieniegdzie w tę cudną materię.

Trwało to tak krótko jak ogień bengalski, poczem z wolna szarzeć poczęło. Po takim bardzo barwnym zachodzie, gdy już mrok zapada, zdarza się czasem dziwne zjawisko, twój ojciec je zauważył: wschodnia strona horyzontu pozostaje różowo ametystową, tylko mrok tę barwę przyciemniając, zdejmuje ją z gór i nieba a rozlewa w przestrzeni; tak, że szarość na ziemię zstępująca już nie jest prawdziwą szarością, bo zabarwiona subtelnie fioletem.

Nie zawsze jednak trzeba się od zachodzącego słońca odwracać, by jego mistrzostwo oceniać. N. p. owego dnia, gdy wracaliśmy piechotą z Hammam Saladin, siedliśmy chwilę, patrząc na panoramę skał, z których przyszliśmy, a słońce właśnie się za nimi chowało; i już było znikło, gdy oto jakby iskra elektryczna przebiegła po linii wierzchołków na niebie się rysujących, zapłonęło migotliwe, białe światło, czyli raczej cieniutka linia świetlana, łamiąca się poszłusznie w misterne, koronkowe załamki skał. Było to, jakby kto był obwiódł dokładnie ten kontur ołówkiem fosforycznym.

Albo innym znowu razem: słońce już było zaszło, gdy nagle dostrzegliśmy, że zachodnia strona nieba zaczyna się dzielić na jakieś pasy świetlane: blado zielone i blado

żółte. W pierwszej chwili było to jeszcze niewyraźne i nieogólne, lecz wkrótce było można sens tego obrazu zrozumieć: te pasy nie były równoległe, lecz rozchodziły się półkolistą z miejsca, gdzie słońce było zaszło: pasy żółte były to promienie schowanego już słońca, a barwa zielona była tłem owych promieni. I rozprzestrzeniło się to na całej zachodniej stronie nieba, tak, że gdy środkowe owej zorzy promienie zenitu sięgały, boczne, najniższe, dotykały prawie ziemi.



18-go kwietnia.

Wspomniałam ci, że mułów używamy w naszych wycieczkach. Pierwszy raz mieliśmy muły już tak leniwe, że wprost nieznośne, teraz trafiliśmy na lepsze, z krocza chodzące; do chodu najleniwszego konia daleko im wprowadzić, ale przez pięć, sześć godzin zawsze się coś objedzie. Muł taki okulbaczony jest »terlicą« (wyrażenie to u nas używane, jest zatem żywcem z Wschodu wzięte.) Tutaj jestto poprostu derka złożona we dwoje i z trzech stron zeszyta; przewieszają się to przez grzbiet, kładąc brzeg niezasyty ku przodowi, potem ten brzeg odwija się na jakie pół łokcia i w to odwiniecie kładzie się nogi, co służy jakby strzemiona. Na każdą wycieczkę zadajemy sobie »odkrycie« jakiegoś punktu na horyzoncie upatrzonego; i jest coś wprost upajającego w takim osobistym, bezpośrednim, a od trafu zależnym podpatrywaniu tej wielkiej nieznanym, którą jest tu dla nas przyroda. Bo nawet na płaszczyźnie, w pozornej jednostajności, jest zawsze coś nowego a zagadkowego.

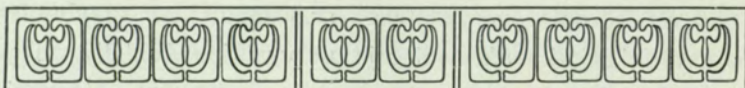
Jedziesz n. p. równiną, a tu nagle otchłań przed tobą się otwiera: suche łożysko wielkiej rzeki; brzegi strome, zszarpane, kilkanaście metrów głębokie, dno zarzucone odłamami skał; na kształtach tych głazów widzisz ślady rozszalałego pędu olbrzymiej masy wody, która tu te głazy przyniosła, czy z ziemi wypłókała i żłobiła. I dno i brzegi mówią o rzece wielkiej a gwałtownej... ale, gdzie ona i kiedy to było? — zagadka. Bo kraj ten od wieków zwanym jest »ziemią pragnienia«, bo bezwzględny brak wody bardziej niż jałowość gruntu jest tu przyczyną zaniku roślinności, bo ludzie się tu zabijają o wodę*). A takich olbrzymich łożysk suchych zupełnie, lub prawie zupełnie, jest na pustyni wiele; zowią się »Oned«.

Czasem znowu, jadąc pustynią, doznajemy wrażenia, że ziemia chrupie, pod kopytami jakby grudki zmarzniętego błota.... czasem dudni przez chwilę jakby pod nami próżnia była; czasem staje się śliską jakby ją namydłono, choć o wilgoci mowy być nie może; czasem wjeżdżasz w płacheć pokrytą jakąś białą solą, jakby szronem, czasem otoczą cię plamy niebieskawe, jakby wapno z farbką porozlewane.... A ileż więcej jeszcze przyczyn do dziwowania się, gdy do gór się zbliżymy.

*) Kradzież wody, t. j. zwrócenie na swoje pole wody do sąsiada płynącej a przez niego kupionej — to najpospolitsza, w oazie, forma kradzieży; wywołuje ona często samosąd równie nielitościwy, jak n. p. we wsiach naszych — koniokradztwo.

W Europie góry łatwiej przystępne są przybrane roślinnością, która okrywając je, ukrywa ich kształty. Tu, nagość tutejszych — to otwarta księga dziwów, która ci wsączy w duszę, ani nie wiesz, kiedy, miłość do geologii, tej wstrętnej dla mnie dawniej nauki. Zaczynasz widzieć, że gdyby tylko mieć trochę umiejętności a przytem możliwość bliższego badania, toby się kształty każdej góry równie zrozumiało jak się rozumie na oko budowę kwiatu. Równe roślinom bogactwo motywów zdobniczych przeczuwać się zaczyna w tych kształtach pozornie wypadkowych.

»Odkrycie« to nasze jest zapewne dla geologów prawdą elementarną, pierwszy lepszy zatem podręcznik byłby nam prawdopodobnie to samo powiedział. Tylko, gdy się tak szczęśliwie zdarzy, że prawdę jakąś można osiągnąć nie przez cudze objaśnienie, ale wprost przez mowę przyrody, to się czuje takie jakieś zdumienie a potem cześć, które sprawiają, że ta prawda, wśród wielu innych, miłszą, bliższą ci pozostaje... i nietylko umysł ci wzbogaca, ale i duszę.



24-go kwietnia.

Chcę dziś pisać o innym, a także niewyczerpanem dla nas źródle estetycznych wrażeń. Ale przedtem muszę jeszcze nawiasem zanotować, że od dni paru afrykańskie słońce zaczyna już nam moc swoją pokazywać; koło południa termometr wskazuje 30° Cel. w cieniu, 45° w słońcu. Dotąd, słońce choć świeciło wiernie, było na tyle łagodne, że szukaliśmy jego promieni; dziwną bo właściwością tych promieni jest to, że choć cię grzeją tak silnie jak gdybyś o piec był oparty, nie męczą wcale na kształt gorąca lipcowego u nas. Jedyne skutki, jakie odczuwasz z kilkugodzinnego pod nimi przebywania, to pragnienie nieugaszone; znużenia — nic; suchość powietrza chyba przyczyną tego. Od paru dni wszakże cienia już szukamy; ale i teraz, nie tyle gorąco tego przyczyną, co jakiś dziwny, omal groźny blask na wszystkim leżący. Ten blask i niebo coraz jaśkrawiej niebieskie, wprost lękiem pewnym przejmować zaczyna, pokazuje, czem tu słońce w lecie być musi... Arabi,

tak jak i my, opuścili już teraz słoneczne strony swych uliczek; od rana siedzą już teraz po stronie cienia, i równie poważnie tu, jak przedtem tam, oddają się obowiązkowi dumania, przeplatanego piciem kawy lub grą w domino. Bezczylność absolutna do takiej jak tu podniesiona potęgi, uprawiana tak powszechnie i tak wytrwale, imponuje wprost.

Ale — odeszłam od przedmiotu, nie napocząwszy go nawet. Chciałam pisać o kilkunastu wioseczkach, które na drugim końcu naszej oazy się znajdują; dzielą nas od nich owe palmowe gaje, o których piękności już pisałam, a które od tego czasu wiele jeszcze na uroku zyskały, bo wionie z nich zapach kwitnących pomarańcz i inne wionie wymownie mówiące o mocy, jaką słońce umie tu zakłąć w każde ziele. Wioski te (zwą się one n. p. Sidi Barka, M'Cid, Bab darb) zdały się nam zrazu zbiorem nędznych lepianek na wpół rozwalonych, opuszczonych. Lepiankami są istotnie te domy: bo cegła w nich niepalona, ulepiona z gliny tej samej, po której się chodzi, i tem samem błotem wspojona.

I nędznie rzeczywiście wyglądają dla europejskiego oka te ściany ziemiste, bez okien, bez gzymsów, bez wido-cznego dachu; ale nie są one bynajmniej nędzy dowodem: nietylko są one zamieszkałe, ale mieszkają w nich posesy-onaci. Tylko, że Arab widocznie nie przywiązuje żadnej wagi do kwestyi mieszkania, do jego piękności, a choćby czystości. Żyje na powietrzu, a poczucie estetyki, które jest u niego i silne i wykwiłtne, zadawalnia strojeniem siebie

i rodziny; kobieta nawet w domu, przy pracy, ma głowę i szyję obciążone łańcuchami, obręczami srebrnymi, pie-



. . . Wioski te zdały się nam zrazu zbiorem
nędznych lepianek na wpół rozwalonych,
opuszczonych . . .

niażkami. W domu zaś nie ma jednego sprzętu: mrok, kurz i pustka, jakby zwierząt schronisko. Z czystością to samo co z estetyką: Arabi płócą się i myją ciągle; nad każdym strumieniem, studnią, widzisz ich siedzących w kuczki i oblewających się z namiętnością. Ich białe szaty są omal zawsze nieposzlakowanej czy-

stości. Ale w domu i koło domu brudno i czuć obojętność pod tym względem zupełną. Błędne nasze wrażenie domów nawpół rozwalonych wynika stąd, że dachów nie widać, a wierzch murów sterczy ponad dachem linią niesymetryczną, strzępata. Dach ten płaski, zrobiony z bali palmowych, oblepionych gliną, jest miejscem przebywania, spania, a ta linia niesymetryczna, strzępata, to murek okalający tę prymitywną terasę. Tyle co do szczegółów technicznych; ale jakiegożby trzeba pióra, abyś uwierzył, że przechadzka wśród tych lepianek to jeden z najmilszych dla nas sposobów spędzenia popołudnia. Idzie się tak kilometrami wśród ścian żółtych, łamiących się jak labirynt w niespodziewane zakręty; z każdego zakątka wyzierają palmy, festony wina, szare oliwki, świeżo rozwinięte liście figi. Strumień płynie zazwyczaj jedną stroną drogi, przez niego przerzucony co chwila mostek, do drzwi domu. Co kilkanaście kroków zakręt, za którym nigdy nie wiesz jaki nowy a zawsze piękny widok cię czeka, bo niebo, słońce, drzewa, domy, meczety, studnie, białe postacie mężczyzn, jaskrawe szaty dzieci, kozy, osiołki, wszystko to jakby się zmawiało, aby w coraz to nowych ugrupowaniach i kombinacjach tak linii jak barwy, w coraz to nowy zachwyty cię wprawiać. Oto na zakręcie spostrzegasz siedzącą w kuczki gromadkę dzieci: dostrzegłszy cię, zrywają się jak stado wróbli, ale na to, by ku tobie podlecieć. Jedni w fioletowych, czerwonych lub żółtych gandorach, drudzy,

najczęściej murzynki, w jednym krótkim, podartym łachmanku; ci, gdy tak biegną, wywijając czarnymi członkami, a białością oczów i zębów błyskając, szatanków przypominają. Pstrokata a krzykliwa gromadka kołem cię otacza; wyciągają się rączki o czerwono wymalowanych pazno-



... Idzie się wśród ścian żółtych ...

kciach, brzękające srebrnymi obrączkami; twarzązki dziewczątek, z misternymi znakami tatuażu na brodzie i czole, przymilają się zalotnie, śmiało; i biegnie to koło ciebie z tyłu, z przodu, z boku, skacząc, tańcząc, krzycząc i chórem powtarzając tych samych zawsze kilka zdań dla turystów przeznaczonych. Znamy je już: »Hamsa Sourdi — Bonjour

Sourdi;« od tego się zaczyna, a potem: Rzuć sus'a... sus'a na wyścigi... rzuć sus'a do wody... rzuć sus'a, to będzie koniec...«

Musi to być ulubiony sport gonić za miedziakiem lub szukać go w wodzie. Wytrwali są bardzo w proszeniu, a ty z tego korzystasz i napawasz oczy widokiem tych egzotycznych istotek, wszystkich ku tobie zwróconych. Chęć wyzyskania turysty na wszelki sposób jest tu tak rozpowszechniona, że drogą reakcji, już wytworzyła w nas skórę hipopotama, i — nie dać proszącemu — już zgoła nic nas nie kosztuje. Zresztą, z dzieci tych tak tryska radość życia, że o współczuciu dla nich mowy być nie może, więc najcyniczniej z ich żebrania korzystamy, by, idąc, patrzeć i patrzeć na ich oczy, cerę, rysy, gorące barwy sukien, cudne linie dziewczęcych ciał, klejnoty, któremi dźwięczy niejedna. Wreszcie, gdy już się dobrze przekonają, że nic nie dostaną, urządzają nieraz na finał jakby kocią muzykę: wzmożenie krzyków z dzikiemi podskokami; poczem pozostawiają nas; a my niedługo po paru zakrętach z nowym podobnym eksperymentem się spotykamy. Gdy czasem sama jestem, natarczywość takiego stadka do tego dochodzi, że sobie w duszy winszuję, iż te dyablątka nie mogą wiedzieć, gdzie niewiasty europejskie miewają kieszenie. Natarczywość, w stosunku do turysty, to cecha nie tylko dzieci tutaj: gdy jaki mężczyzna nieco po francusku umięjący upatrzy sobie, że ci chce za cicerona służyć —

zatrutą masz swobodę przechadzki: nie odczepisz go od siebie. Kilka razy, gdy sama była w jakimś miejscu odludnym, miała z tego powodu duszę na ramieniu... Tak, że teraz rewolwer biorę, gdy sama wychodzę trochę dalej. Ale wracam do owych wiosek: szkoły między innymi są tam zawsze. Gwar głośny, jednostajny słychać już z daleka; czasem nauka odbywa się w izbie, mrocznej, nagiej i pustej jak wszystkie arabskie, czasem na dworze; wtedy — przy małym domku jest kilkanaście łokci kwa-



„ . . . w środku siedzi siwy Arab.“

dratowych otoczonych niskim ziemnym murem; w środku siedzi siwy Arab, a naokół, pod murem — dzieci. Wszystkie

mają w ręku deski białe pomalowane, zapisane rzędami hieroglifów; są to zawsze zdania Koranu. Czytają krzykliwie a śnać bardzo biegle, bo patrzenie na nas nie przerywa im bynajmniej wątku. Niektórzy piszą na takich samych deskach: trzymają w jednej ręce gliniany słoik, a w drugiej zaostrzoną bambusową trzcinę, kreśląc nią od prawej ku lewej stronie powiewne, oderwane znaczki. Nauczyciel dzierży długi bambus, którym dosięgnąć może w najdalszy zakątek lokalu; zdaje się jednak, że ten bambus nie służy do niczego gorszego, jak do uderzenia z dużym trzaskiem po desce rozglądającego się studenta, bo atmosfera zdaje się swobodna, przyjacielska. Nauczona lekcja wypowiedana jest krzykliwie w samo ucho nauczyciela: koniecznym jest to wobec panującego gwaru. Piszący uczniowie wzywani są do pokazywania swej pracy i tak jak w Europie, nie patrzą ni trochę na czynione poprawki. Zupełnie też tak jak w Europie, starsze dzieci »przepowiadają elementarz« małym, trzymając pismo do góry nogami. Wtem jeden piękny wyrostek przerywa czytanie, glinianymi schodkami zakreconemi koło pnia palmy wchodzi na taras będący dachem domu, zanucił ku wschodowi pieśń modlitewną i schodzi. Na to hasło — nauka skończona. Meczetów jest w tych wioskach dużo, ale równie są prymitywne jak mieszkania ludzkie, równie z gliny lepione, tylko że wybielone i równie wewnątrz puste i nagie. Znakiem meczetu zazwyczaj — wieża, albo coś na kształt

wieży; stamtąd cztery razy dziennie obwoływana jest na cztery strony świata wielkość Allaha i Mahometa, jego proroka: »Lajlelah Allah, Mahomed Rasilah.« Te pieśni są nietylko modlitwą, ale jednocześnie dla wioski — zegarem. Czasem nawet i wieży niema przy meczecie, tylko pieśń obwoływana jest z dachu, tak jak w onej szkole. Wewnątrz taka wioskowa świątynia, to izba, której sufit podparty szeregiem słupów palmowych; słupy te połączone belkami, od których zwieszają się latarnie; na ziemi — maty; w rogu ambonka; pod ścianą — uboga szafka zawierająca księgi święte; na ścianie dwa dziecinnie narysowane plany świątyń w Mece i Medynie; a nad tem zawieszane woreczki zawierające ziemię z tych miejsc najświętszych — oto i wszystko. W przedsionku — trzy wielkie gliniane naczynia z wodą: Arab musi każdą modlitwę poprzedzić ablucją; te naczynia przypominają mi zawsze kształtem »stągwie kamienne« na godach Galilejskich, z biblijnych obrazów znane. Pozatem domy modlitwy są pozbawione czegokolwiek, coby do wyobraźni przemawiając, pobożność karmić mogło. A jednak Arab głęboko religijnym się być zdaje, muszę mu to przyznać, choć na ogół to, co z charakteru jego wyczuwam, nie jest mi sympatycznym. To samo potwierdza ksiądz tutejszy, choć bardzo ich nie lubi. Między innymi uderza nas cześć, jaką przy spotkaniu oddają swym duchownym (marabout'om); cześć też, jaką mają dla grobów tych marabout'ów, bo cała okolica, nietylko

oaza, ale i przylegająca pustynia, zasiana jest maleńkimi czworokątными świątynkami. Zawierają one kilkołokciowy dziedzińczyk, sioneczkę i izdebkę — jakby pustelnia, ale za małe omal na ludzkie rozmiary; jestto puste zupełnie, a utrzymane wiele starannej jak ogół mieszkalnych domów; musi to być jakby mieszkanie cieniów zmarłego i, rzecz znamienna, zowie się taka kapliczka: »le marabout« tak jakby on istotnie przebywał tam jeszcze; a powtarzam, napotyka się te domeczki co krok. Drugi rys wiary tych



„ . . . napotyka się te domeczki co krok.

ludzi, na wstępie każdego uderzający, to sumienność z jaką spełniają obowiązek modlitwy. Kilka razy dziennie są do niej obowiązani; to też co chwila, na drodze,

w ogrodach, na placu publicznym, na ulicy wśród przechodniów widzisz Araba, który stanie, zwróci się ku wschodowi, twarz mu spoważnieje, zdejmuje obuwie, klęka na burnusie, który rozesał, czołem o ziemię uderza, wstaje modląc się dalej, znowu klęka, znowu czołem bije... Żadne natrętne spojrzenia nie odbiorą mu wtedy wyrazu skupienia, powagi.



1-go maja.

Pisząc o suchych łożyskach rzeki, pytałam: gdzie te rzeki i kiedy one tu płynęły... Tak mnie uderzała sprzeczność między wielkością tych koryt, a zupełnym brakiem tego, czemby wypełnione być mogły. Bo wszak deszcz jest tu wypadkiem wyjątkowym, pada kilka razy do roku, a śniegiem w górach topniejącym też się tutejsze rzeki nie zasilają chyba. Nie wiedząc zatem jak sobie wytłumaczyć obecność tych olbrzymich a suchych łożysk, na pięćset kroków a czasem na pół wiorsty szerokich, stawiałam sobie już hipotezę, że widać one służyły wodzie kiedyś w jakiejś zamierzchłej przeszłości, gdy inną była postać ziemi. Tymczasem w dzień czy dwa po tem, co napisałam, afrykańska przyroda zakrzątnęła się, aby pokazać mi, jak powolnym trzeba być w wyciąganiu wniosków choćby tylko hypotetycznych. Bo ta afrykańska przyroda jest pedagogiem znakomitym: jeżeli pierwszym krokiem do mądrości jest nabycie przekonania, że się nic nie wie

a mało rozumie, to Afryka bezwarunkowo do mądrości mnie zbliżyła... Otóż z kwestią tych pustych łożysk, »ouedami« zwanych, taka się rzecz stała: powstał wiatr gorący »hamsun« i w ciągu godzin kilkunastu napędził chmur, nie piaskowych tym razem, lecz takich jak w Europie. Otworzyły się następnie upusty niebieskie i przez dobę padał deszcz z gwałtownością większą chwilami, niż to bywa u nas. Wieczorem zastanowił nas szum szcze-

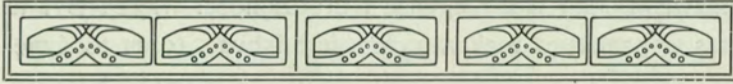


„... Żadne natrętnie spojrzenia nie odbiorą mu wtedy wyrazu skupienia, powagi.“

gólny... czyżby to wiatr tak w palmach szumiał, czy też (ale to chyba niemożliwe) wezbrał tak strumyczek, który nieraz suchą nogą przechodziliśmy?... Sący się on środkiem ogromnego koryta o jakie tysiąc kroków od nas. Mó-

wiono nam wprawdzie o takich wezbraniach dziwnie nagłych, o wodzie zjawiającej się ławą i płynącej z szybkością tak wielką, iż ludzie przechodzący przez »oued« tonęli, nie zdolawszy zbiedz... Ale ludzie tak przesadzają... zresztą, to się tam mogło zdarzyć kiedyś, w jakimś roku kłęski, ale gdzież tu przypuścić, żeby dziś, w przeciągu jednej doby, znalazło się tu nagle wody tyle, by jej szum aż z tak daleka dochodził?... Nazajutrz rano śliczna już była pogoda... przed południem chodziliśmy na granicy oazy, ciesząc się z powrotu słońca, gdy przypomniał się nam ów szum wczorajszy... poszliśmy nad brzeg ouedu. Był taki jak zawsze, t. j. że od brzegu do brzegu nie widzi się nic prócz piasku i kamieni, bo to trochę wody, co tam jest w samym środku, ginie dla oka wśród nierówności gruntu. Może i jest tam dzisiaj trochę więcej wody, jak zwykle, ale tak jak zwykle, nie widać jej z brzegu, więc różnica nie musi być znaczna, niewarta, by dla stwierdzenia jej wędrować kawał drogi, aż do samego środka ouedu. Ale oto zdumienie nas zdejmuję: na miejscu, nad którym stoimy, są ślady oczywiste, że woda tu dopiero co płynęła... oto brzeg świeżo wyrwany, oto opodał — namulenie... tu znać jeszcze zaschniętą pianę, w niej różne, pozostawione odrobinki... Zatem cały oued był wczoraj po brzegi napelniony... Przestrzeń przeszło pół wiorsty szeroka!... Onegdaj przechodziliśmy tu suchą nogą, wczoraj płynęła tu olbrzymia rzeka z tym szumem, który do

nas doszedł... dzisiaj pozostał znowu tylko nikły strumień... Czy to możliwe? a jednak ślady są tak niezaprzeczone, że wszelkie wątplenie musi umilknąć. Gdyby rzecz była jeszcze stwierdzenia potrzebowała, potwierdziła się nam ona wielokrotnie po południu, w czasie przejażdżki po pustyni. Bo wszystkie te rozległe a puste ouedy głosiły tęż samą opowieść: nosiły ślady wody po obu swych brzegach. Jedyną pozostałością po tej całej masie wody była niejaka wilgotność pustynnego piasku, co tworzyło wymarzony do jazdy teren; ale i ona w oczach znikąa. O wytłomaczenie tego zjawiska szybkiego nagromadzenia się wody i szybkiego jej zniknięcia nie powinnam się już kusić, doświadczeniem nauczona; stawiam tu tylko zatem domysł, z wielkim znakiem zapytania (domysł twego ojca): czy szybkie nagromadzenie się wody nie wynika z skalistego podłoża, blizkiego powierzchni ziemi, a szybkie jej znikanie — z wysokiego stopnia suchości saharowego powietrza?



5-go maja.

Obawiam się, że piszę stosunkowo za wiele o przyrodzie, więc do ludzi i spraw ich dzisiaj wracam. Bliską już jest chwila, gdy nas znowu szare Europejczyki otoczą; nim się to stanie, chciałabym uwiecznić w pamięci i w tem pisaniu jak najwięcej pojęć o tym ludzie ciekawym. Nieśmiało robić to będę, bo tylko powierzchownemi być mogą nasze spostrzeżenia... Zacznę wszakże od czegoś nieco realniejszego, od tego, co mi ksiądz mówił o przeszłości tego kraju (naturalnie w książkach by się to samo znalazło, tylko — że by się nie czytało). Ludnością pierwotną byli tu Berberzy; w pierwszych wiekach naszej ery Rzymianie kraj posiadli, Biskra zwała się u nich Veczerą; sąsiadujące z Biskrą oazy były wówczas tak jak i ona, miastami z kamienia pobudowanemi (teraz wszystko, co tu nawet Francuzi budują, jest lepione z gliny). Szczątki tych rzymskich ruin ciągle się napotyka. Kraj na północ Biskry nie był wówczas jałowy. Skąły pokryte były

drzewami, stąd wody a więc i urodzajności więcej. Był tu czas wspaniałego rozkwitu chrześcijaństwa... czas to świę-



Wioska w Biskrze.

„... Z każdego zakątka wyzierają palmy,
festony wina...“

tego Augustyna... Przestrzeń, która teraz jest Algierem, podzielona była na 400 dyecezyj...

Biskra miała wówczas biskupa, który świętym jest: świętego Optata. W wieku ósmym był pierwszy najazd Arabów; zniszczył on wiele; w wieku jedenastym Islam zapanował ostatecznie. Teraz Francuzi, o ile sądzić możemy, zachowują się względem Arabów

tak, jak to jest przyjęte w stosunku Europy do jej braci niebiałych: brać pieniędzy jak najwięcej, wydawać na podniesienie kraju i ludu jak najmniej, a pogardą obficie szafować. Wyjątek pod tym względem stanowił kardynał Lavigerie, biskup Konstantyński. Nazwisko jego usłyszysz zawsze, ile razy jest mowa o jakimś czynie użyteczności publicznej; był widocznie opatrnością tego kraju; kościoły, klasztory z misją kulturalną, szkoły, szpitale, muzea, hodowla wina — wszystko jest tu z imieniem jego związane. Co do pracy misyjnej, rząd francuski naturalnie koniec jej teraz położył: jest ona duchowieństwu surowo wzbroniona; a siostry miłosierdzia mi mówiły, że gdyby doszło do wiadomości władzy, że one ochrzciły w szpitalu umierającą niemowlę arabskie, mógłby klasztor być zamknięty. Z drugiej strony francuskie szkółki gminne mają za zadanie podkopywać w dzieciach arabskich ich własną wiarę; jakiś Francuz Biskrzańczyk nam to mówił, objaśniając, że to droga do osiągnięcia upragnionego porozumienia między Francuzem a Arabem: zbliżenie nastąpi niechybnie, twierdził on, gdy już i jeden i drugi w Boga wierzyć nie będą.

To jest, zdaje się, najkonkretniejszy rys roboty cywilizacyjnej francuskiej tutaj w zakresie duchowym. W zakresie materialnym zaś, rzeczą najłatwiej w oko wpadającą jest nawadnianie. Imponujące rozmiarami są te roboty: nieraz woda sprowadzona jest do jakiej oazy o wiorst

kilkadziesiąt. Nie możemy naturalnie osądzić, czy jestto w jakim przyzwoitym stosunku do opłacanych podatków. Co do tych podatków, rząd urządził się mądrze — robi za nie odpowiedzialnymi znaczniejszych Arabów, kaidów czy szejków; ci mają rządowi pewne quantum wypłacać, a śruby mogą przykręcać wedle swej woli. Pewno, że krytykować łatwo, a trudno jest rządzić narodem, którego umysłowość się kształtowała na elementach tak różnych od tego, co naszą wychowało kulturę, że chyba wieków trzeba, by dojść do zrozumienia się. Tembardziej, że niema teraz między Arabami, o ile wyrozumieć mogliśmy, warstw wyższych. Są ludzie zamożni, pewno są i bogacze, są stare pańskie rodziny, ale mam wrażenie, że poziom duchowy ich ten sam, co popólstwa. Koran zdaje się być jedyną książką; ten Koran, który dąży do trzymania swych wyznawców jak najdalej od reszty ludzkości i używa każdego obyczaju za szaniec tego ekskluzywizmu. Islam zdaje się być wprost przeciwny chrześcijańskim pojęciom ogólnego braterstwa; to utrudnia bezwarunkowo porozumienie. Ale i Francuzów postępowanie jakież jest złe, a jakież, przytem, krótkowzroczne. Nawet najlepsi, nawet ksiądz, człowiek zdaje się bardzo zacy, odnosi się do nich, jako do gorszego gatunku ludzi.

Trzeba słyszeć, jakim tonem mówią do Arabów nieodrosłe jeszcze od ziemi Francuziki i Francuzeczki. Ja sama przyznaję, byłam nieco już zasuggestyjonowana tą atmosferą i n. p. dla żebraków tutaj zaczynałam już trosze-

czkę inne mieć uczucie niż mam w Europie — jakiś brak braterstwa. Rada jestem, że pod koniec naszego pobytu pozbyłam się tego; odwiedziliśmy szpital (imienia Lavigerie), siostry mówiły nam o nędzy krajowców i ulgi wprost doznałam, słysząc nareszcie kogoś mówiącego o Arabach bez lekceważenia i niechęci; to rozwiało tamtą sugestję. Nędza podobno jest obecnie straszna, bo już to rok czwarty jak szczególniejsza panuje susza. Nędzę podsyca lenistwo;



„ . . . Ci piękni mężczyźni leżący na matach . . . „

jest ono zdaje się, jednym z zasadniczych rysów ich charakteru. Ci piękni mężczyźni leżący o każdej godzinie dnia na matach u progu swego domu lub kawiarni, zaczynają

mi być wprost zagadkowi przez stopień, do którego bezczynność posuwają.

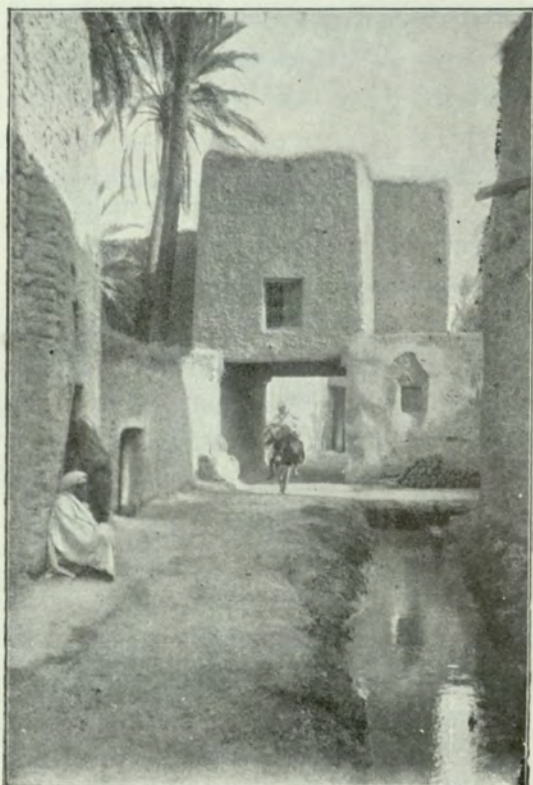
Z tego, co mówią, widać, że pragną jej wszyscy, biedniejsi szanują bogatych, bo ci »mogą ciągle nic nie robić«. Jestto widocznie ten sam duch Wschodu, który czuje się w Rosyi: pogarda pracy i, co za tem idzie, a co mnie w Petersburgu tak raziło, ta bezbrzeżna obojętność, z jaką się swój i cudzy czas marnuje.



El-Kantara, 8-go maja.

Odkładam na później dalsze o życiu Arabów spostrzeżenia, bo ostatnie dni pobytu w Biskrze upamiętniły się wycieczką, którą zapisać warto za świeżej pamięci. Nasz gospodarz nam mówił, iż koniecznie widzieć powinniśmy »Źródła Oumache'u«, więc dwa dni przed wyjazdem skierowaliśmy muły ku oazie tego imienia, leżącej o wiorst kilkanaście od Biskry, i tam źródeł owych szukaliśmy, ale daremnie. Spotkaliśmy wreszcie Araba, któremu staraliśmy się wypowiedzieć, o co nam chodzi — zrozumiał doskonale i począł nas prowadzić. Szedł przed nami z pół godziny tym sprężystym, lekkim krokiem, który ziemi zdaje się nie tykać; »Szuja halib« powtarzał od czasu do czasu z uprzejmem kiwaniem głowy, czyli »źródła niedaleko« mówiliśmy sobie. Wkrótce ujrzeliśmy wierzchołki kilku palm... maleńka widać oaza w kotlinie; to będą nasze źródła. Widać chatkę ubogą, Arab przyspiesza kroku, woła kogoś, nam czekać każe. Zjawia się niewiasta i — mamy »szuja halib«: oto z bukłaku dziegiem pachnącego pić muszę skwaśniałe mleko... muszę, bo twój ojciec od-

mawia... a jakże naszemu opiekunowi taki zawód zrobić. On bowiem z naszych pytań zrozumiał, że nam się pić chce

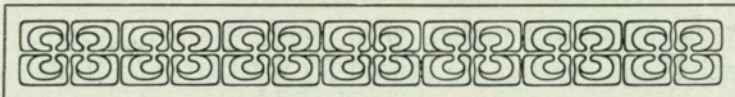


Wioska w Biskrze.
„Strumień płynie zazwyczaj jedną stroną
drogi...”

i do siebie na poczęstunek przyprował. (»Szuja halib« jak nam w Biskrze objaśniono, znaczy »trochę mleka«). Więc nowe robimy usiłowania, by się porozumieć, tym razem z lepszym skutkiem, bo ostatecznie do źródeł nas doprowadza nasz Arab i poucza, że trzeba było mówić: »Ain«. Na dnie wąskiego, głębokiego koryta płynie stru-

mień, dążąc przez wiorst kilkanaście ku oazie »Oumache«; twórca oazy, karmiciel jej. Płynie przez szczerą pustynię, i jakąś anomalją się zdaje to, że woda jest, a nie powołuje roślinności do życia. Może przesyconie gruntu mineralnymi składnikami przeszkadza wegetacji, a może sama woda z ziemi wychodząc jest zbyt w sole bogata, a pozbywa się ich dopiero przez czas swej wędrówki. Dość, że nagie są brzegi strumienia i jałową dolinka, z której strumień wypływa. Jest w niej źródeł kilka; zapach jakby morza unosi się nad niemi i smak wody jest rzeczywiście do morskiej podobny. W jednym źródle, woda z pod skały się dobywająca bulgocze rozkosznie: wrażenie świeżości jakże sprzeczne z pustynią; radość, rozczulenieomal, z którym się wrażenie to wita, pokazuje jak dalece, pomimo wszelkich nad pustynią zachwyków, jest się dzieckiem swej własnej przyrody. Radość ta zwiększa się jeszcze, gdy wśród skał otaczających źródło dostrzegamy zwieszające się ku wodzie paprocie; paprocie, mieszkanki cieniu i wilgoci — wśród pustyni! Paprocie — naturalnie takie, jakie my tylko z cieplarni znamy. Ta dolinka, dalej, jeszcze większe dla nas chowa dziwy. Drugie źródło, o kilkadziesiąt kroków, nie ma skał; jestto jakby kałuża o stromych brzegach, trochę traw wodnych ją okala. Stajemy nad nią, a Arab energicznie mnie przestrzega, gdy laską dno próbuję: »przepaść to bez dna« rozumieemy z jego objaśnień; niebardzo się temu wierzyć chce, tak marnie wygląda ta odrobina wody... Wtem ziemia

zadrżała i fala wody z pod samych stóp naszych wypłynęła, i — spokój znowu; znowu źródło kałużą się być zdaje. Po upływie paru minut, zjawisko się powtarza: wstrząśnienie (czuje się je tylko na jednym miejscu, w promieniu jakich dwóch metrów), i, za niem — wody przyływ; nie wytryska ona, lecz wylewa się w miejscu, które zadrżało, jakby fala idąca pod samą powierzchnią ziemi. Inne źródło opodal ma znowu odmienny system: powierzchnia większa od tamtego, jakby sadzawka maleńka; dno usłane drobnymi czarnymi śmieciami, woda nad nimi nieruchoma, przezroczysta. Nagle, wśród śmieci ruch się wszczyna, ziemia nokoło drży lekko, a z dna, jednym silnym pchnięciem, wylania się żółty, brudny kłęb wody. Przewraca się to wszystko, wiruje i miesza zrazu gwałtownie, potem coraz spokojniej; po chwili śmiecie napowrót na dno opadają, woda napowrót przezroczystą się staje, ale chwije się jeszcze przez jaką minutę, płynąc tam i napowrót od brzegu do brzegu, jakby kto miednicę to w jedną to w drugą stronę przechylał. A w tym ruchu mienia się w wodzie słońcem roziskrzanej obłoczki piasku różnobarwnego, tak subtelnego, że nie mącą wody, tylko ją barwią, przewalając się z nią od brzegu do brzegu. Po minucie spokój zalega.



10-go maja.

Już kilka dni upłynęło, jak Biskrę opuściliśmy i w El Kantarze jesteśmy, a dopiero dziś o niej mówić przychodzi; dotąd, nie mogłam się uporać z tem, co jeszcze o Biskrze opowiedzieć ci chciałam. Nasza nowa siedziba leży o dwie godziny koleją na północ od Biskry; przejeżdżaliśmy tędy, jadąc z Algieru do Biskry i wtedy wspomniałam o niej. Odludny kącik: stacyjka, hotelik i parę domków u progu rozpadliny, która jest bramą Sahary. Rozpadlina wśród skał niebotycznych, dochodząca aż do powierzchni ziemi, a szeroka u dołu nie więcej jak na kilkanaście metrów. Z Biskry jedzie się tu płaszczyzną pustynną, aż oto ukazuje się przed pościągami ściana; ściana płaska, równa, kilkanaście chyba wiorst długa, wycinana wierzchem w symetryczne zęby, jakby jakaś piła olbrzymia; zębów takich kilkadziesiąt naliczyć można; w jednym miejscu między zębami szczyrba się ukazuje... i więcej jak szczyrba, bo przerwa zupełna w ścianie... Brama Sahary....

Wjeżdżamy w nią, jedziemy chwil parę skalistym parowem, wzdłuż strumienia; zakręt, tunel, stajemy; już pustyni ani śladu, krajobraz się zmienił jak w teatrze — przed nami kotlinka zielona. Kręgiem w górze wiszą nad nią skały



**„... już pustyni ani śladu, krajobraz się zmienił
jak w teatrze . . .“**

nagie, poszarpane, »a tu bliżej, a tu niżej« jak w »Przedświcie« »kapią bluszcz i róże«, kwitną pomarańcze, zielenią się wiośniano figi, morele, brzoskwinie, strzelają ku niebu cyprysy i śliczne topole o białej korze i młodozielonym liściu. Jest się tu wprawdzie trochę w niewoli, bo światła znikąd nie widać, ale tej niewoli ściany tak są pięknnością

ozłocone, że w rozmarzeniu, w odurzeniu prawie trzymają. To też w pierwszych dniach tutaj nie mogłam jakoś się zdecydować wyjść nigdzie dalej, trzymał mnie tu jakiś czar, czy potrzeba zrozumienia, przyswojenia sobie tych cudów, zanim inne wrażenia przyjmować będę. Ta przerwa w skałach, ten parów — to jakby gotycka katedra; takie te głązy



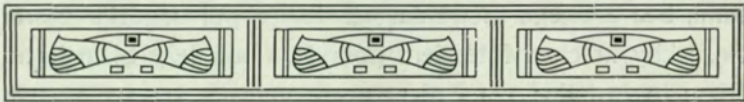
„ . . . Ta przerwa w skałach, ten parów — to jakby
gotycka katedra . . . “

wpracowane, wymęczone, wryte, poszarpane jak dusza nowożytna, której gotycyzm jest wyrazem, w przeciwstawieniu do wielkolinijnej pogody starożytności. Góry w Biskrze mają dla mnie wiele tego spokoju, tych wielkich linii, które z pewnością nie były bez wpływu na archite-

kturę egipską. Góry tutejsze na ogół, podobny mają charakter; tylko wewnątrz tego parowu wyjątek stanowi. Skały w nim wznoszą się łukiem ku niebu, łukiem wypukłym od samego dna strumienia, a wyrzeźbione są tak fantastycznie, że całe zdobnictwo średniowiecznej świątyni w nich wypatrzysz.

Patrzysz w nie, jak w grę obłoków, i oto widzisz nad głową słupy odstające od masy jak boczne wieżyczki, profile maskaronów, potworne ptaki i zwierzęta, poziome ujścia owych rynw gotyckich, daleko poza mur sterzących. Gdy tak patrzysz, zdarzy się, że nagie ściany ożywią się nagle: wśród kamiennych potworów, hen wysoko, błysnie czerwony fez i biała opończa pastuszka. Bosemi stopami trzyma się ściany omal prostopadłej, skacze przez rozpadliny, czepia się wyłomów. W ślad za nim, kilka awanturniczej natury kozłąt oddzieliło się snąc od stada w poszukiwaniu ziół rzadkich i po pionowych śpi-czastych głazach igra swobodnie wbrew prawu ciężkości. A gotyckie te skały to bynajmniej nie jedyna piękność naszego najbliższego otoczenia — w niem wszystko jest pięknnością, ale słowa takie są bezsilne... malowania by trzeba... ale jaki by to musiał być malarz... Północna ściana naszej kotlinki, tuż nad potokiem, który nam pod oknami szumi, jest na przykład taka, że wymalowana, dziwactwem tylko by się zdała. Jestto jakaś szczególna glinka, mająca pozór aksamitu różnych barw położonych obok siebie pa-

sami, bez żadnego zlewania się. Więc pół pagórka czerni się, jakby kreciem futerkim pokryte, obok leży błam jasno siwy: to jest tło; a na niem porozrzucane, zawsze w tym samym pionowym kierunku, węższe i szersze pasy aksamitu brązowego i oliwkowego, odcięte od tła liniami białymi, wązkiemi a wyraźnemi jakby szwy białych nici.



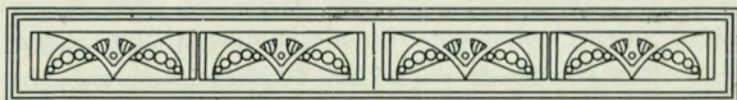
11-go maja.

A po za naszą kotlinką, co za bujność fantazyi zdo-
bniczej w tych górach Auresu; więcej jej tu może jeszcze
jak w Biskrze. Jest łańcuch, którego ogniwa, to szereg
olbrzymich bochenków; każdy ma na wierzchu jakby dia-
dem misternie cyzelowany; czasem takie dwa sąsiednie
dyademy przedłużają swe cyzelowanie aż do powierzchni
ziemi i razem wtedy stanowią wspaniałą bramę dla parowu,
u którego ujścia stoją. Czasem takich dyademów jest kilka,
jeden za drugim, w znacznej po za sobą odległości; w ta-
kim razie, za tą pierwszą bramą rozwiera się w głębi druga
i trzecia. Wiszą one nad potokiem cicho szemrzącym, ale
narzuconym głazami wielkimi jak domy; jestto obraz, który
ogromem wychodzi z ram tego, cośmy przywykli uważać
za przyrodzone. Wspomniałam wczoraj o niezwykłych
zabarwieniach ziemi w naszej kotlince; gdy dziś przez ów
gotycki parów wyszliśmy na Saharową płaszczyznę, znale-
źliśmy jeszcze większe tego rodzaju dziwy; Allah tam chyba

wysypał cały zapas pastelowych kredek: ziemia pod twemi stopami jest oliwkowo zielona, a po kilkunastu krokach wchodzisz w plamę ciemno fioletową, gdzieniegdzie bladofiolkową. Potem trafiasz na żyłę brązową o krwawych odcieniach, potem na seledynową, na żółtą, na sino purpurową, na czysto szkarłatną, aż wreszcie, w jednym miejscu ścianka jakiejś wyrwy przedstawia ci jakby widok palety z wszystkimi temi barwami naraz. Można by myśleć, że to złudzenie, ale pięć próbek ziemi, które ze sobą biorę, będą mi świadczyły, że na jawie byłem.

Na płaszczyźnie tej, o parę wiorst dalej, widnieją pagórki o ziemi tak czerwonej, jak krew świeżo rozlana; miejscami ta czerwoność jest przyćmiona szarawą zielonością ziół, co uwydatnia jeszcze więcej jaskrawą barwę miejsc nagich. Jeden z tych pagórków uwieńczony jest skałami, równie jak ziemia czerwonymi; skały te ułożyły się w dwa jednakowo wysokie i szerokie, równoległe mury; rysuje się to w oddali linjami tak prostemi, że przysiągłbyś, że to dzieło ludzkiej ręki, ruiny jakiejś z cegły tak dziwnie czerwonej. Ten system szkarłatnych pagórków opiera się o skały świecące białością; jestto alabaster, podobno. Wybraliśmy się tam dziś piechotą, tak się to blisko zdało; doświadczenie już nas jednak nauczyło, jak zawodne są nasze w tym względzie oceny: jednolitość krajobrazu i wielka przezroczystość powietrza stałe łudzą Europejczyka co do bliskości mety. To też i tym razem

droga się okazała jedna z tych, co to ich, ani rusz, nie ubywa, a przytem kamienista nieznośnie. Jedyłą pociechą był czarowny zapach ziół: każdy raz co nogą potącisz krzaczek szarego zielska, to jakbyś kadzielnicę poruszył. Ta woń ziół, w połączeniu z sykaniem świerszczy, w krajobrazie jałowym, spieczonym, skalistym, czy to nie jak w »grobie Agamemnona«? I szliśmy tak, ale nie doszliśmy: dotarłszy do zboczu pierwszego pagórka, tak byłam zmęczona, że odpoczęliśmy i zawrócili napowrót w tę monotonną, ciężką drogę.



12-go maja.

Wczoraj na mułach zdobyliśmy twierdzę. A piękność w niej znaleźliśmy taką, że mi zostanie na całe życie w pamięci. Wjechaliśmy w ten sam parów, u którego progu byliśmy wczoraj, wspięliśmy się na wierzch pagórka i oto od stóp naszych w dal aż do białych skał ukazało się rozkołysane szkarłatne morze: pagórki i dolki gorejące najbogatszymi cieniami czerwieni. Nawet dzień chmurny nie był zdolny przyćmić tego gorzenia. Z kwadrans tak szliśmy, muły prowadząc, po tych niepodobnych do prawdy krwawych wertepach, urwiskach, przez wyrwy, które woda łąbi w tym kruchym, sypkim szkarłacie, szkarłacie nagim, jednolitym, nie ubranym ni jednym zielem, nie przyćmionym ni jednego kamienia szarością. Stopniowo jednak przestaje być jednolitym ten szkarłat: zjawiają się gdzieś niedzie śnieżne punkta — to alabastru kawałki; jeszcze jedna strona ścianka do zejścia, jeden zakręt i jesteśmy na dnie maleńkiej kotlinki, nad suchym łóżem strumyka, ocienio-

nego laurem kwitnącym. Tu się odbywają jakby zręko-
winy tych gorejących pagórków z szlachetnymi alabastru
skałami, wszystko jest białe i czerwone: więc ściana
sypkiego szkarłatu, pod którą siadamy, najeżona jest bia-
łymi płytami, sterczącymi bezładnie i groźnie, i ziemia na-
okół zasłana kawałkami alabastru przepojonego czerwienią
lub zdobnego w czerwone żyły i narośle. Kraina bajki...
patrzmy na nią z pod cienia lauru, a u stóp naszych lśni
biały marmur wyżłobiony przez wodę w kształt wanny
przepięknej... Wolałabym tu zostać, innemi wrażeniami
tego czaru nie zacierać, ale twój ojciec chce iść dalej,
w głąb białych skał, więc muły do lauru przywiązujemy
i idziemy w górę, znowu jak w »Grobie Agamemnona«
»łożem suchego potoku,

Gdzie zamiast wody płynie laur różowy«...

Idziemy z czaru w czar: potok, który w ziemię prze-
padł, zjawia się i prowadzi nas to szemrząc półgłosem, to są-
cząc się cicho; prowadzi jakby do swego »świętego świętych«
przez zakątki tak coś dziewiczo samotnego mające, a tak
niezrównanie piękne, że jakieś uszanowanie człowieka obej-
muje, nie śmie mówić głośno, a chwilami wolałby prawie,
żeby się na tem kończyło, bo więcej piękności znieść nie po-
trafi. Więc najpierw idziemy jakby alabastrowym korytarzem —
szczelinę w białej skale woda tak sobie wydrążyła i wypole-
rowała — to, poczem stąpamy i ściany wysoko nad nami —
to ten sam gład jednolity, a tylko w górze pas błękitu. Po

chwili skały się nieco rozstępują, strumień poważniej się rozkłada na białych stopniach, szmerząc wśród głazów i laurowych zarośli. Wzdłuż niego — urwisko o czerwono białej symfonii, a kombinacje tych motywów w nieskończoność się mnożą. Nieco dalej wrażenie znowu inne — parów jeszcze trochę się rozszerza, urwisko staje się wyższe, zaokrąglą się amfiteatralnie nad potokiem. Stoimy teraz naprzeciw wysokiej, żółtej, półkolistej ściany, która na tle nieba się odbijając, z szczególną mocą podkreśla jego lazur... Słowa są bardzo niedołężne dla określenia wrażeń wzrokowych, więc gdy będziesz to czytał, nie znajdziesz tu zapewne nic, co by usprawiedliwiło to jakieś oczarowanie, w którym byliśmy, to zapomnienie o wszystkim, co jest, jakby tu się świat zaczynał i kończył... O ludziach przedewszystkiem zapomnieliśmy zupełnie. Więc gdy nagle od tej żółtej ściany doszedł nas jakby przytłumiony gwar rozmowy, doznaliśmy uczucia zbudzenia ze snu dobrego, jak gdyby nam odbierano coś słodkiego i kojącego, co dopiero danem zostało... Lecz nie — czar może trwać jeszcze — bo oto słyszymy, że ta rozmowa, to tylko gołębi gruchanie — głośne, natarczywe, to znowu skarżące się, proszące i łagodne, ciche. Mieszkają w jamkach, którymi urwisko jest podziurawione: oto jeden wyfruwa, drugi powraca, znika... gwarzą, trzepocą się... Dla nastroju chwili, są tylko jednym motywem więcej.



13-go maja.

Z okien naszego hoteliku mamy ciągle widoki, które upamiętnić warto: trzeba wiedzieć, że zaraz za tą ścianą gór, która nas od Sahary dzieli, na pustynnej płaszczynie jest oaza, też El-Kantara zwana. W niej trzy wioski: »Wioska Czerwona, Wioska Biała i Wioska Czarna« podług kolorów ziemi, z której domy budowane. Otóż z tych wiosek co rano o świcie ciągną przed naszemi oknami wielkie stada kóz idących na paszę w skały. Paszy tej, w europejskim tego słowa pojęciu niema tam wcale; ale wszystko na świecie jest względne, to też i w skałach tych widocznie już prędzej niż na pustyni znajdzie się zioło kozom miłe. Po kilku tygodniach pobytu w tym kraju oswoiliśmy się już z tym skądinąd dziwnym faktem, że zwierzęta się stale pasą tam, gdzie dla naszego oka niema nic prócz piasku lub kamieni. Więc na te ciągnące o świcie kozy wiele razy z przyjemnością patrzyliśmy... (bo rzecz to też szczególna, jaką się ma tutaj gotowość a nawet ochotę wsta-

wania o najwcześniejszej godzinie; może dzięki temu Arabi wogóle wstają... bo skądinąd wobec ich absolutnej bezczynności nieraz się siebie pytałam: po co, to jest do czego wstają oni, a nawet wcześniej wstają?..)

Ale wracam do kóz: snują się pułki czarnych zwierzątek w bladym, niepewnym świetle wstającego dnia; idą dwiema drogami nie opodal naszego ganku, a przed każdym pułkiem idzie postać w szaro białej opończy, ledwo rzeczywista wśród szarości świtu. Idzie Arab przed stadem, nigdy za nim, bo tutaj zgodnie z obrazami przez Pismo św. przedstawianymi, pasterz nie pędzi swej trzody, ale ją »prowadzi.« A te kozy z bliska widziane, jakież są ciekawe: zawsze lśniaco czarne (pewnie dlatego, by je łatwiej można było znaleźć wśród jasnych barw skał), a w wyrazie pyszczki mają coś z fauna. Jedna koza w stadzie miewa często postać cudaczną: włos popodgalany w desenie, pozaplatany w kolorowe gałganki; jest to »le marabout,« »święta« — jest ona tem wśród stada, czem święty człowiek wśród ludzi — opiekunką, broniącą od złych wpływów i złych duchów. O zachodzie słońca te kozy znowu nam są uciechą, gdy na ganku siedzimy; a lubimy na tym ganku siedzieć, bo wisi on jak gniazdo w zieleni między gałęziami morw i kasztana zwrotnikowego (le micoucoutier); wiośnianą jaskrawość i lśnienie tej zieleni ocenia się podwójnie po szarawej vegetacyi Biskry. Więc z pomiędzy gałęzi patrzemy, jak słońce kładzie coraz łagodniejsze promienie,

coraz dłuższe cienie na otaczające nas skały, gdy nagle, rojno na nich być zaczyna: kozy wracają. Co chwila nowe zastępy zjawiają się na przełęczach i zwartemi stadami zstępować poczynając, zdają się być czarnymi chmurami, sunącemi po naszych jasnych skałach. W miarę jak zstępują, dzielą się i rozdrabniają te pułki, odróżniamy indywidualne ich ruchy, karkołomne skoki. Twemu ojcu zdarzyło się widzieć, jak kilka kóz skoczyło w miejsce, skąd ani naprzód ani w tył już się ruszyć nie śmiały: przyszedł pasterz pod ten cypel i przerzucił je sobie ponad głowę na cypel obok.



14-go maja.

Inny znowu widok który w każdy pogodny ranek odrywa mnie od pisania, to karawany. Trakt wiodący



... widok, który w każdy pogodny ranek odrywał mnie od pisania, to karawany.

— 105 —

przez tę naszą „Bramę Sahary“ jest jedną z główniejszych arteryj komunikacyjnych łączących Algier południowy z północnym. Tędy zatem, mimo naszego hoteliku odbywa się co wiosnę wyjazd Beduinów-pasterzy z głębin Sahary w góry Auresu i Atlasu. W zimie Sahara żywi ich dobytek, w lecie — nawet w afrykańskim tego słowa znaczeniu, paszy dostarczać przestaje; więc to pastwisko zamieniają na skały Berberyi i Kabylii; przytem zajmują się tam nieraz na północy do pracy w polu a także wydzierżawiają sobie półka dla zasiania jęczmienia (jestto jedyne zboże, którego używają). Wędrówka ta jest widocznie nie tylko co do pór roku, ale i co do etapów w system ujęta, bo wszystkie karawany mijają nasz hotel między 9-tą rano a południem. O ile się dorozumieć mogliśmy, karawana u Beduinów jest taką samą jednostką społeczną jak u nas osada chłopa albo dwór obywatela — jest w niej „pan“, jego rodzina, jego namiot, jego inwentarz, jego służba oraz rodzina, namioty i dobytek tej służby. Wszystko to stoi do siebie w tym samym stosunku co u ludzi osiadłych, z tą różnicą, że jest stale ruchome; i w zamożności skala zdaje się być równie rozległa jak ta, co sięga od paromorgowego chłopa do pana licznych włości. Bo wyraz „Beduin“ nie jest, jak z początku mniemaliśmy, równoznaczny ubóstwu; jestto tylko odmienna forma posiadania: jedni Arabi posiadają palmowe ogrody i jęczmienne pola, inni — i ziemię i trzody, inni Beduini — same trzody, i ci żyją owem ży-

ciem pasterskim, pozostałością wieków starożytnych. A że ten sposób życia nie ma nic zasadniczo wspólnego z ubóstwem, dowodem — królowie-pasterze historii egipskiej. Patrząc na Beduinów, ma się wrażenie, że oni od owych wieków starożytnych ani kroku naprzód duchowo nie zrobili; pustynia i Islam tworzą koło nich podwójną samotność, nie poprzez nią, z świata nie dochodzi. Ale oto z ganku naszego widzimy, iż z Saharowej bramy wyłania się taka, zamożna tym razem, karawana. Wśród dekoracji jakby żywcem wyjętej z jakiejś feeryi teatralnej, na trakcie wiszącym wśród sklepień skalnych, nad szumiącym potokiem zjawia się wielbłąd jeden, drugi, dziesiąty, za nimi sznur ludzi i zwierząt. Znika to wszystko na chwilę w zakręcie skalnym a potem ukazuje się już tuż przy nas i przed nami defiluje. Jedzie „pan“ w śnieżnym burnusie na siwym arabczyku; kulbaka i trendzla z czerwonego safianu złotem haftowane, strzemiona o szerokiej podstawie, cyzelowane wytwornie... możnaby to wszystko zaraz złożyć do muzeum jako trofea z wypraw Jana III-go. Za nim idą wielbłądy tym swoim sennym, kołyszącym krokiem; na garbach ułożone mają podłużne gniazda, szeroko na obydwie strony sterczące, gniazda ułożone z tkanin jaskrawych, w każdym gnieździe po dwoje dzieci kołysze się z muzułmańską powagą w takt wielbłądziego kroku — to pańskie dzieci. Dalej idą wielbłądy niosące gniazda szczelnie zamknięte, gdyż nad gniazdem rozpięta jest buda z tkanin granatowej i po-

marańcowej ułożonych w pasy nakształt rozchodzących się promieni; takie gniazdo zowie się „bassour“, w niem ukryte żony pana. Obok idzie kilkunastu mężczyzn pieszo, zapewne służba; idzie kilka wielbłądów objuczonych poskładanemi namiotami i dobytkiem gospodarza — sprzęty dostatnio wyglądające, ale do czego służyć mogą, zoryentować się tak prędko nie można; idą dalej wielkie stada owiec i kóz, a za nimi już tabor służby: więc nędzne osiołki niosą w koszach młodsze dzieci — siedzi to bez ruchu, apatyczne, w dal zapatrzone; niosą osiołki ubogie sprzęty, niosą nowonarodzone jagnięta i koźleta oraz kury za nogi przywieszzone; obok idzie szybkim krokiem (bo krokowi idących przodem wielbłądów nadążyć trzeba) gromada kobiet, pacholąt, dzieci; w łachmanach prawie, ale łachmany barwne, w piękne linie się układające, a u kobiet zawsze jakąś srebrną ozdobą brzęczące. Kobiety drobne, przedwcześnie zmarszczkami pokryte, sprężystość cechą ich znamioną; i więcej jak sprężystość, bo jakiś przyrodzony wykwint postawy i ruchów, który chyba niczem innym nie jest jak harmonijnem zgraniem ciągle ćwiczonych mięśni; co za różnica między taką Beduiną a opasłą mieszczką Biskrzańską... Przechodzą przed nami z głową podniesioną, z piersią naprzód podaną, podtrzymując jedną ręką wiszące na plecach dziecię, a drugą prowadząc psa na barwnej chustce. Te psy, to charakterystyczny rys karawan, zawsze takie same: puszyste, płowe, o śpiczastych uszach, do szakali

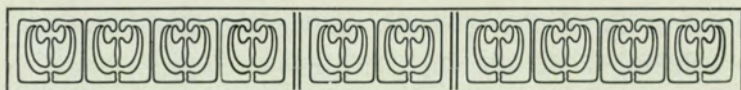
podobne; wielka ich ilość przy każdej karawanie i zawsze są tak samo prowadzone na różowych lub pomarańczowych chustkach. Temu dni kilka przypatrywaliśmy się karawanie, która po południu obóz rozbiła o jaką wiorstę za El-Kantara. Namiotów kilkanaście (są one nieodmiennie z wełnianej tkaniny brązowej w rzadkie białe pasy, a rozpięte



Namiot Beduinów.

tak nisko, że chyba stać w nich nie można). Wielbłądy i osły wyprowadzono wysoko w skały, zapewne, aby nie odbierały „paszy“ kozom i owcom, które w koło obozu sumiennie ruszają pyszczkami nad polaną szczerego żwiru. Ognie się palą, dzieci i kury uwolnione z uwięzi krążą po-

ważnie; kobiety się krzątają, powoli, milcząco; mężczyźni równie milcząco na trakcie zasiedli. Dwa rysy nas tu uderzają, rysy poprzednio już zresztą zapisane: pierwszy — to ich powaga, zupełny brak w obozie tym ożywienia, gwarliwości; jestto zapewne oddźwięk milczącej powagi, przyrody tutejszej. A nie jest bynajmniej ponurą ta powaga Araba; przeciwnie, dobrotliwości pełną, bo gdzieżby można być ponurym wobec jasności tego słońca?... Poleszuk, który żyje wśród przyrody jednostajnej, rozległej, jałowej, a chmurnej przytem, jest i milczący i ponury. Ale odbiegłam od karawany aż na Polesie, a miałam wymienić drugi rys, który nas w tym obozie uderzył i uderza tu ciągle, to — kobiety zapracowane a mężczyźni próżnujący.



16-go maja.

Wspomniałam onegdaj o kobietach: wiąże się to z rozmową, którą miałam wczoraj z młodym Arabem, przewodnikiem. Częścią koleją, częścią na mułach wybraliśmy się z nim i znajomą parą Holendrów do Tilatou, miejscowości w górach o 14 klm. od El-Kantary. Przejeżdżaliśmy konno przez ubogą wioseczkę, gdy nasz Arab mi oświadczył, że ztąd właśnie zamierza żonę wziąć... schwyciłam tę sposobność zajrzenia trochę w ich obyczaje i pojęcia i zaczęłam od pytań: kto ona, czy się dawno znają etc. Na to mi odpowiadał: — »gdym przed kilku tygodniami był tu »z pewnym turystą, odpoczywaliśmy chwilę przy studni; »przyszło na nas patrzeć parę dziewczątek, nawinęła się »i stara kobieta, tedy jej powiedziałem, że gdyby ojciec »jednej z tych dzieci chciał oddać córkę w małżeństwo do »El-Kantary, to niech tam przyjdzie i zgłosi się do mnie, »do Amara ben Achmeda. Bo to, widzi pani, trzeba wiedzieć, gdzie, kiedy, jakiego towaru szukać. Młode dziewcz-

»czątko, to rzecz droga, nie na kieszeń takiego chudo-
»pacholka, jak ja; mnieby stać było właściwie tylko na
»kupienie sobie rozwódki i może nawet rozwódki kilka-
»krotnej (bo taka najtańsza). Ale ja poszedłem po rozum
»do głowy; w tych wioskach panuje bieda w tym roku, pie-
»niędzy potrzebują, więc taniej tu dostanę dziewczynę i to
»nawet młodziutką, niż gdzieindziej bym zapłacił za roz-
»wódkę. I przyszedł do mnie ojciec jednej z tych dzieci
»i zgodziliśmy się na 75 franków. Będzie to i tak dobrze
»zapłacone, bo rok jest nieurodzajny, ięczmienia mało. W tym
»roku wszystko, co lepszej strawy potrzebuje, sprzedaje się
»za bezcen: konie, krowy i — rzecz prosta — kobiety. Bo
»kobieta to nie to, co muł, wielbłąd albo koza, które byle
»czem się żywią, więc bez względu na urodzaj zawsze tę
»samą mają cenę. W innym roku mógłby być ten człowiek
»i 150 franków żądać. Moja przyszła żona ma lat 14-ście,
»zwykły to wiek do zameężcia — dziewczyna, która do 17-tu
»lat zostaje u ojca — wyjątkiem. „Nous, Arabes, ne laissons
»pas grandir les femmes“, jestto zby tkłopotliwe i ryzykowne,
»o nieszczęście łatwo, a wtedy już dziewczyny nikt nie kupi...
»chyba się trafi przechodzący Beduin, któremu dziewczyna
»w oko wpadnie, a on sobie nie zada trudu dokładnie się
»we wsi o rzecz rozpytać. Więc, by uniknąć wypadku,
»któryby odebrał dziewczynie sprzedażną cenę, ojciec lubi
»ją oddać jak można najwcześniej, zwłaszcza, że i przyszły
»mąż woli zawsze młodszą, bo pewniejszy jest tego, co bie-

»rze. Ja moją siostrę wydałem w zeszłym roku za męża,
»choć tylko 13-ście lat miała; już teraz ma dziecko. Co
»miałem robić? ojciec zmarł, jestem jedynym mężczyzną
»w domu, a mój zawód trzyma mnie poza domem, nie mogę
»niczego być pewnym. Mąż co innego: może zamknąć...
»niech więc bierze jaknajwcześniej... teraz już mam pieniądze



„... wyraj Beduinów-pasterzy z głębin Sahary, w góry
Auresu i Atlasu ...“

»w kieszeni, a kłopot z głowy. Pani pyta, co dziewczyna
»na to mówi? Co ma mówić.... »kobieta to jak krowa«, jej
»nic nie szkodzi być zamkniętą, byle jej dobrze było... to
»jest, żeby mogła dużo jeść i ładnie się ubrać. Dziewczyny

»nikt nie pyta o jej wolę w kwestyi małżeństwa, rozwódka
»zaś już ma głos. Gdy małżeństwo się rozwiązuje, kobieta
»wraca do ojca, względnie brata, ten zaś musi zwrócić pie-
»niądze, które za nią wziął«. Rozmowę tę prowadziliśmy
z przerwami, wywoływanemi różnaitością drogi; jedna
z takich przerw dostarczyła mi nowego materiału do na-
szej rozmowy.

Jechaliśmy przez wieś, ale wieś zawieszoną wysoko
na dwóch zboczach skalnego parowu; domki przy-
lepione do skał jak gniazda jaskółcze, bez okien, bez wi-
docznego dachu, ulepione z gliny tejże samej barwy, co
skała. Wśród tych domków pnie się i wiję droga nasza,
tak mało podobna do traktu, który w europejskiem pojęciu
zwykł wieś obsługiwać, że nasz Holender, wątpły, wrażliwy
nieco człowiek, wołał tu iść piechotą. Bo też te muły, na któ-
rych jechaliśmy, mają arcy niemiły obyczaj: gdy idą na takim
zbozcu, ścieżką wyżłobioną w ścianie skalnej, idą nie jakby się
chciało, przy samej ścianie, ale właśnie, przy samej próżni.
I jeszcze z największym naciskiem czynią to przy zakrętach,
tj. w momencie, gdy i bez tego dusza człowiecza ma skłon-
ność do przenoszenia się na ramię. Kiedy po przebyciu zakrętu
obejrzyz się, by zobaczyć, gdzie też naprawdę został ślad
nogi twego muła, stwierdzasz, że był istotnie nieco bliżej
brzegu, niż byś sobie życzył. Ten zwyczaj mułów zrozumiał
jest: noszą one zwykle ładunek w dwóch koszach
przez boki przewieszonych, więc właśnie najłatwiej je

mogło stracić w przepaść to, gdyby blisko ściany idąc, zaważyły o nią koszem.

Jedziemy więc przez tę dziwną wioskę a w koło nas skacze gromadka ciekawych dzieci; skacze — i to z niezwykłą zręcznością, bo stroma i najeżona głazami jest pochylność, w której nasza ścieżka wyłobiona. Oni na nas, a my na nich z jednakową patrzymy ciekawością; to już typ inny, nie Arabi, ale Berberzy; już semickich linii niema, lecz coś do włoskich rysów zbliżone. Mijamy chatkę, w której dziedzińcyku, nad przepaścią wiszącym, stoi młoda kobieta; piękna taka, że się oglądać za nią trzeba, ale dziwny na jej twarzy zespół wczesnej młodości z przeżyciem, a obwieszona kosztownościami. Nasz Arab wszczął z nią rozmowę i został w tyle; gdy nas dogonił, objaśnił mnie, że ją pytał, czy nie chciałaby wyjść za niego... Nie rozumiałam już nic; cóż w takim razie owa dziewczynka?... więc objaśniał dalej, że dziewczynki ojciec się jednak droży, a tę mu ktoś wskazał, gdy przed godziną u progu wioski jedliśmy śniadanie; powiedziano mu, że jest już trzeci raz rozwódką... on nie bardzo ma na taką ochotę, ale taniość interesu go kusi... bo ona bardzo kłótniwa, dokuczyla już swojej rodzinie, więc by ją za byle co oddali...



17-go maja.

Spieszyłam wczoraj wieczór z zanotowaniem tej rozmowy z Arabem, aby za świeżej pamięci jak najwierniej ją oddać... Dzisiaj też wycieczkę piękną z przewodnikiem zrobiliśmy w góry, do Maaffy, ale ta już musi w niepa-
mięci piasku utonąć, bo o tamtej do Tilatou mam jeszcze tyle do napisania, a czasu brak. Tylko zapiszę, że gdyśmy podczas dzisiejszej wycieczki, u źródła opodał jakiejś wioski odpoczywali, przyszło z bukłakiem po wodę dziewczę cudne jak zjawisko; przypomniało mi to horyzonty, jakie mi nasz Arab wczoraj na kwestyę matrymonialną odsonił, i żartem mu radziłam, aby się dowiedział, czy też ta dziewczyna by dla niego być nie mogła... Zrozumiał, że to dworowanie, wywołane jego wczorajszem o sobie opowiadaniem i w odpowiedzi jego brzmiała nuta obrazy. Wogóle zauważyłam, że Arabi nie znoszą ani słów szorstkich, ani szyderstwa; zdają się oni mieć to, co w terminologii hippicznej nazywa się

miękkością pyska, tj. wrażliwość wielką na sposób, w jaki się do nich odnosić i wszystko biorą na seryo.

To wczorajsze badanie arabskich obyczajów na grzbiecie muła prowadzone, miało za tło okolice, którą, jak powiedziałam, opisać muszę: parów skalny wijący się przez jakie wiorst 10, w nim, na zboczach zawieszona owa wioska wśród urwisk takich, że do niejednej chatki chyba na czworakach leżć trzeba; jedziesz wśród skał nagich i domków, które trudno od skał odróżnić; szaro, jałowo, spieczono, żdźbła zielska nie ujrysz. W dole parowu zaś, kilkadziesiąt metrów niżej, zieleń lśniaca, czarowna, i taka bujność, świeżość, bogactwo tej zieleni, że nasz Maj tylko słabe może dać o niej pojęcie. Skąd ten kontrast? — Woda tam jest na dole. Nie potrzeba długo bawić w Afryce, aby się nauczyć, że wszystko tu koło tego się obraca; obecność wody lub jej brak znajdziesz na dnie omal każdego zagadnienia. Płynie zatem na dnie parowu strumień na tyle obfity, że nawet w lecie nie wysycha, napotyka wśród skał nieco ziemi, więc zaraz jest oaza, czyli miejsce, gdzie coś rośnie, a gdzie oaza — tam wioska. My, przez pobyt w Biskrze, przywykliśmy rozumieć pod wyrazem oaza, pióropusze kit palmowych; więc, wobec braku palm, zbija nas na razie, z tropu to wyrażenie, tu użyte. Bo tu, ta urodzajna wysepka, która się zieleni na dnie przepaści i pod stopami naszymi rozbrzmiewa pieśnią słowika — to gaje moreli, granatów, orzechów, fig,

przerywane gdzieniegdzie zagonkami młodego szmaragdowego jęczmienia; palm w tej strefie górskiej już ani śladu. Po jakimś czasie parów zakręca pod kątem prawie prostym i — oaza skończona; strumień bowiem nie znajduje już tu ani bryłki humusu, z którejby mógł zieloność wykrzesać, same głazy i żwir... Jedziemy teraz dnem parowu, a nad nami stoją ciągle te same ściany z gładów, o szafir nieba oparte, w prostokątne powierzchnie podzielone. Nic niema szarpanego w kształtach tych skał; linji w nich niewiele, stąd wrażenie ogromu z szczególną mocą się narzuca. I człowiekowi, w otoczeniu tych kształtów prostych, spokojnych, ogromnych, a blaskiem jaśniejących wydawać się zaczyna, że oddalił się od naszego planety, od tego, co na nim jest małe, drobne, ponure, zawikłane, szarpiące, a przeniesiony jest w świat inny, prosty, a wielki i wiekistej pogody pełen. I jedziemy czas jakiś w milczeniu, aż oto to, co nam przewodnik pokazuje, rozwiewa to wrażenie, bo dowodzi, że i tu ludzkość przyniosła swoje namiętności i bóle. Wysoko nad nami, wśród ścian prostopadłych widnieją ciemne zagłębienia, wejścia do jaskini; a z każdej takiej czeluści, odcinającej się czarno na siwym tle skały, znać, iż dym kiedyś wychodził, bo ściana ponad każdym otworem zakopcona, zczerniała. Naga, śliska, prostopadła ściana, czasem nawet sklepieniowo wgięta, a w niej, na stumetrowej nieraz wysokości, ten oczywisty dowód, iż ludzie tam mieszkania swe mieli! Oczom się wierzyć nie

chce, bo.... chyba ptakiem tam dolecieć? Na to odpowiadają podania, a drukowane słowo je potwierdza, że ptakiem wprawdzie nie dolatywali, ale do niejednego z tych mie-



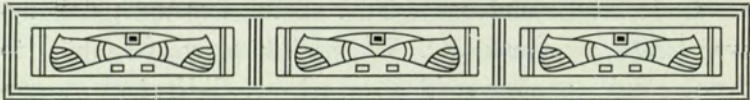
Wioska w Biskrze.

„... Co kilkanaście kroków zakręt...“

szań na sznurze ludzie się spuszczać musieli... Bronili się w ten sposób Berberowie od narzucającego się im począwszy od XI. wieku jarzma islamu; a choć żadnych szczegółów, ani dat tej walki nie znam, widać bronieć się musieli dobrze, kiedy mi mówiono, że gdy nastąpiło tu w początku XIX wieku panowanie francuskie, zastało jeszcze

pewną ilość Berberów chrześcijan. I dopiero szykanami administracyjnych przepisów rząd francuski skłonił opornych do przyjęcia Islamu, aby jednolitą ludnością łatwiej rządzić. Teraz już Berberzy ani wyznaniem, ani obyczajem nie różnią się od Arabów; tylko język zachowali, i jest on widać zgoła od arabskiego różny, bo mi przewodnik mówił, że się z Berberami zupełnie nie może zrozumieć, więc rad jest, że jego matka umie kilka słów ich języka, bo łatwiejsze będzie miał na początek z żoną porozumienie. Arabi zowią Berberów »Szauja«, co znaczy pasterze. Żenią się, jak widzimy, między sobą, ale musi to być od niedawna, albo nie często się zdarza, bo w tych naszych, choć tak powierzchownych spostrzeżeniach, uderzyły nas odrazu wyraźne między dwoma ludami różnice. Prócz różnicy w rysach, Berber zdaje się być pracowitszym, porządniejszym od Araba... Byliśmy co prawda tylko w dwóch berberyjskich wioskach, w Tilatou i w Maffie, ale w obydwóch nie widzieliśmy ani jednego mężczyzny pod murem spoczywającego; uderza to odrazu po dwóch miesiącach między Arabami spędzonych. I domy u Berberów staranniej pobudowane i ziemia lepiej uprawiona i czuć wogóle tę samą dbałość, którą się napotyka wśród górskich narodów Europy, by ani piędzi ziemi do uprawy zdatnej nie pozostawić odłogiem. Więc często w pobliżu wioski, gdzieś wysoko wśród skał, dostrzeżesz maleńki taras, a na nim posadzonych kilka fig kaktusowych: sad miniaturowy,

starannie kamieniami ogrodzony. Sztuk łamanych dokonywać trzeba, by tam dojść. Te figi kaktusowe (Opuntia) to typowa całej okolicy roślina; w wiosce El-Kantara otoczonym jesteś grubemi, rozkładającymi się na wsze strony ramionami tej potwornej rośliny; potwornej — co prawda — tylko w Europie; u nas hodowana w doniczkach jest ona przecież wstrętna?... Tu — zupełnie co innego... tu człowiek się do niej przekonuje, staje się sympatyczną a nawet potrzebną w krajobrazie. W chwili obecnej zaś jeszcze specjalnie cieszy wzrok obfitemi kwiatami, do małych żółtych róż podobnymi...



Europa, w czerwcu.

Już w kraju kończę mój pamiętnik. Wiele mu za-
wdzięczam, myśl bowiem, że mam pisać o tem, czego doznaję,
była mi stałym bodźcem do zdawania sobie jasno sprawy
z tego, co widzę, słyszę, czuję. Bez tego wiele wrażeń
byłoby zostało nienazwanych, a przez to — mniej
odczutych; a tak pamięć tego snu cudnego, w któ-
rym dwa miesiące żyliśmy, jest dziś jeszcze równie żywą,
jak wtedy, gdy w Biskrze wrażenia nasze z dnia na dzień
spisywałam. Ale, nawiasem mówiąc, wieleż ich pominęłam!
N. p. czy to przystoi, że o »mirażach« nie wspomniałam?
Wszak myśl o nich, o »Fata morganie«, jest dość ściśle
dla Europejczyka związana z jego o pustyni pojęciem. Cóż,
kiedy człowiek nie rad opowiada o tem, co mu było nie-
miłym... Pokazywano nam »miraże.« W okolicach Biskry
wśród pustyni otwartej kazano nam natężyć wzrok w kie-
runku południowym, w głąb Sahary, aby tam hen daleko
widzieć jakby modre odbłaski jeziora, jakby smukłe posta-

cie drzew. Mnie to drażniło w jakiś niewytłomaczony sposób... i dziś nie wiem, czy potrafię określić to wrażenie... drażniło mnie, że wzrok wysiłam, aby szukać tego wskazanego mu oparcia, a w tym wysiłku nie mogę się krzepić wiarą, że ten przedmiot tam jest... przeciwnie, wiadomo, że go niema... Jestto coś, jakby ci kazano stawiać nogę w próżnię... Życie cywilizowane wprawdzie oswaja nas w tyśiączny sposób ze złudzeniem, z »mamidłem« (polski wyraz na »miraż«) — ale żeby i na pustyni się w to wdawać! Szkoda na to mego z pustynią stosunku... Zaniechałam patrzenia.

Mam jednak i dodatnie, nieopowiedziane jeszcze wrażenia. Ot, to jedno naprzykład: Dnia jednego, w El-Kantarze od wczesnego ranka dochodził nas głuchy miarowy mruk od strony Saharowej bramy; coś, jakby bębnow warczenie, lecz dźwięczniejsze, a przerywane od czasu do czasu wysoką przeciągłą nutą, jakby jękiem, co braliśmy z początku za poświsty manewrującej lokomotywy. Objąśniono nas, iż z Mekki wraca pielgrzym, El-Kantarczyk, który przed półtrzecia rokiem pieszo wioskę opuścił, aby odwiedzić święte miejsce. Wczoraj wieczorem przysłał gońca z oznajmieniem, iż oto idzie, iż nocuje już niedaleko nas i »maluczko a ujrzymy go«; przyjdzie, otoczony aureolą zasługi, którą uczcić należy; ale przedewszystkiem należy tu oddać hołd świętemu miejscu; jego woń duchową pielgrzym nam przynosi w fałdach swej sukni. Więc wio-

ska przy dźwiękach muzyki wychodzi uroczyście na jego spotkanie. Działo się to na drodze, która przed naszym hotelikiem się wiję; ale, na nieszczęście, sam moment spotkania uszedł naszej uwagi; pospieszyliśmy za nimi do



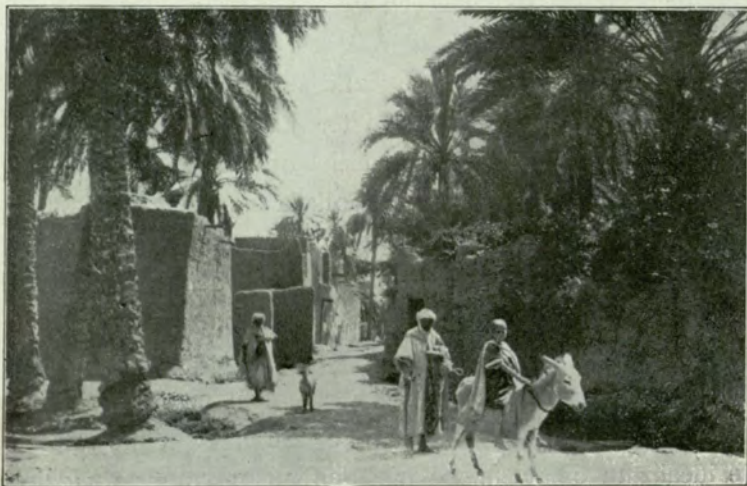
Wioska w Biskrze.

„ . . . niebo, słońce, drzewa, meczety . . . “

piero wtedy, gdy bohatera chwili już do wioski prowadzono. Szedł otoczony gromadką mężczyzn; biali wszyscy, on i oni; on milczał, a otoczenie jego przy dźwiękach tam-tamu śpiewnym głosem powtarzało bez przerwy: »Lajleha Allah, Mohammed Rasilah:« »Wielki jest Bóg i Mahomet

jego prorok.« Za mężczyznami podążało kilkanaście kobiet; one w chórze udziału nie brały (wszak nigdy i w niczem na równi z mężczyznami wystąpić nie mogą), ale w rytmicznych przerwach wydawały długi, przeciągły krzyk, który dziwnie podkreślał takt muzyki i deklamacji. Przy tych słowach sławiących wielkość Boga, ten peryodycznie powracający jęk zdawał się być głosem duszy kobiecej skarżącej się na swe poniżenie. Szliśmy za nimi minut parę, wstydząc się nieco tej roli ciekawych, wobec podniosłości ich nastroju; a prości byli... W zakręcie skalnym ta gromadka rozmodlona spotkała się nagle z kilkoma kobietami: to matka pielgrzyma wyszła naprzeciw; cisza zaległa, stanęliśmy. Ucałowali się poważnie, milcząco, chłodno; poczem pochód ruszył i znikł w zakręcie parowu. Takie pielgrzymki kilkoletnie są podobno u Arabów dość zwykłe; tłumaczyć to można w części ich obojętnością na wartość czasu, ale jest przytem niewątpliwie idealizmu objawem, bo niejeden pielgrzym na to idzie do Mekki, by grosz przez całe życie zbierany zanieść tam w ofierze, a potem wieść dalej na starość żywot ubogi. Owo chłodne powitanie matki z synem jest może, mówiliśmy sobie, objawem tej wstydlivości uczuć, która według znawców Wschodu, należy do rysów znamienych Araba. Taksamo jak uczucia, kryje on zazdrośnie przed otoczeniem wewnątrz domu, żonę, rodzinę, stosunki, mienie i wszelkie życia szczegóły. Islam nie darmo się tak zaciekle

chrześcijaństwu przeciwstawia: zdaje się on być jemu istotnie biegunowo sprzeczny; chrześcijaństwo ludzi łączy, Islam, o ile go poznać mogliśmy, odosabnia... Pewnego dnia, chodząc po Biskrze a rozglądając się jak zawsze chciwie, znaleźliśmy się przed niedomkniętą bramą palmowego ogro-



„ . . . znaleźliśmy się przed niedomkniętą bramą palmowego ogrodu . . . “

du; wchodzimy, mimo że śliczne dziewczę u wejścia stojące, nie zachęcało nas do tego bynajmniej. W ogrodzie stał domek; nie wiem już, co na nim, czy koło niego, zwróciło naszą uwagę, dość, że z tą cyniczną, turystom właściwą, ciekawością, skierowaliśmy się ku niemu; widzę jak gdyby to dzisiaj było, ten ruch oburzenia, którym bez

jednego słowa, owa dziewczynka wzbronila nam przystępu do domu; oczy jej błysnęły, a postać cała mówiła: »nie, tego już za dużo.« Co prawda, odprawa ta nas spotkała dlatego tylko, że jedynym stróżem domu było dziecko, które przejęte swą odpowiedzialnością bronięcia domowych penatów przed obcem okiem, nie umiało rozróżnić, iż człowiek człowiekowi nie równy; nie wzięło pod uwagę, że chrześcijanin, to istota z gliny tak odmiernej, iż się go omal za człowieka nie uważa, więc nie potrzeba mu wzbierać tego, co się broni innym ludziom... a natomiast warto wyzyskać jego ciekawość, każąc mu ją opłacać; tak wobec turystów czynią dorośli. Każdy ci pokaże dom swój najchętniej, ale gdy ich choć troszeczkę poznasz, zrozumiesz, że ci go pokazuje tylko dlatego, że cię lekceważy, że nie istniejesz dla niego jako człowiek. Dzięki temu zwiedziliśmy wiele arabskich domów, i tam „migawkowe“ spostrzeżenia robić mogliśmy. Zabawne bo czasem były — odwiedziliśmy oazę Oumache, o wiorst kilkanaście od Biskry; jeden z tamtejszych obywateli wziął nas zaraz pod opiekę, użyty cienia swych palm do odpoczynku i posiłku, a chcąc potem pokazać, co jest najpiękniejszego w oazie, zaprowadził do domu szeika. Izba, w której nas przyjęto, ciemnowa i zaniedbana, jak to u nich zawsze, miała jednak ściany przybrane... ale ani obrazami, ani trofeami, tylko... szeregiem europejskich giętych krzesel, wysoko ponad głowami wiszących. Co prawda, niema się czemu i dziwić; cóż mają

robić z krzesłami ludzie, dla których akt siedzenia związany jest ściśle z trzymaniem nóg na tej samej, co reszta ciała powierzchni? Ów uprzejmy Oumache'u obywatel zaprowadził nas i do własnego domu; szarość i pustka, ściany



Wioska w Biskrze.

z gliny, pod nogami to samo; przez jedną lub dwie ciemne stancje wchodzi się do jasnej, oświetlonej otworem z góry (okna nigdzie nie istnieją); pod tym otworem pali się ogień z kilku łądyg palmowych, na nich kociołek — to cała kuchnia zamożnego nawet człowieka. Zamożność tę zaś poznaje się po ilości klejnotów zdobiących twarz, ręce i nogi niewiast ognia strzegących. Witają cię one zawsze uprzejmie,

wstają z ziemi, podają rękę, kiwają głową z uśmiechem nieco pobłażliwym, prawie lekceważącym. W żadnym mieszkaniu nie napotkaliśmy ruchomości, mebli, odzieży, może są ukryte? Na zapytanie, gdzie śpią, wskazano nam schodki, kręcące się koło słupa palmowego ku temu, w dachu, otworowi; zaprowadziły nas one na taras; tam stoją w kwadrat cztery słupki, na których się kładzie na noc długie deski, na nich w poprzek układa się krótkie i tak się śpi. O pościeli nigdzie ani mowy. W Oumache'u wówczas zauważyliśmy, że cicerone nasz, wchodząc do swego domu, drzwi kluczem otworzył, a wychodząc wraz z nami, zamknął napowrót swą rodzinę na klucz; ten zgrzyt leciuchny podkreślił nam niewolę kobiety, i zarazem poparł to, co wyżej mówiłam o troskliwości, z jaką Arab broni przed sąsiadami tajemnicy domowego ogniska. Czemu jednak, jeżeli domowe ognisko jest mu tak drogiem, koncentruje on cały swój wielki zmysł estetyczny wyłącznie na strojenie siebie i niewiast, a o piękno swego domu nic nie dba? Badając ducha Islamu, znalazłoby się pewnie na to odpowiedź..... może wybujałością indywidualizmu z ducha tego płynącą wytłomaczyłoby się to dało.

Ale oto z El-Kantary myślą do Biskry wróciłam i długobym tak jeszcze w tych świeżych wspomnieniach grzebać gotowa... A trzeba kończyć.

Dnia 19-go maja, w piękny, światłem jarzący się poranek, pożegnaliśmy naszą kotlinkę; po kilku godzinach jazdy koleją

już pustyni nie było, sen się kończył, otaczała nas śliczna, bujna zieloność północnego Algieru; śliczna, ale mówiąca o powrocie do życia rzeczywistego. Nazajutrz, na morzu, afrykańskie mewy długo nasz statek odprowadzały; ale nie one jeszcze zaniósły nasze ostatnie do Afryki pożegnanie, wziął je statek ku południowi płynący, który minął się



Wioska w Biskrze.

z nami już niedaleko Marsylii. Patrzeliśmy na niego z zazdrością; ci ludzie będą w tej Afryce, która ludzkie życia czarodziejsko złościć umie; i szły za statkiem tęskne nasze spojrzenia. W parę godzin później lądowaliśmy w Marsylii — rozsądna, logiczna, szara Europa objęła nas napowrót w posiadanie.



48.00
Biblioteka Muzeum i Inst. Zoologii PAN

K. 679



1000000000163